Samuel ze Skrzypny Twardowski

i jego poezya na tle współczesnem.

(Ciąg dalszy).

Jest pono choroba grasująca w Polsce wyjątkowo zuchwale, a imię jej: życie nad stan. Jakżeżby mogło być inaczej! Że koło mnie bardzo krucho, co komu do tego; więc światu pokazać gęstą minę i zewnętrzny blichtr. Wszak jak cię widzą, tak cię piszą. Żył mój ojciec hucznie, okazale, przeszastał majątku połowę, lecz cóż stąd? Czy mogę tak się poniżyć, żeby wejść w znajomość z oszczędnością i odmawiać sobie szumnych zabaw, wesołych uczt, wielkiego dworu, czy nie ucierpi na tem splendor imienia?

P. Samuel żżymałby się okrutnie, gdyby sąsiad tak wobec niego rozumował. Aurea mediocritas! Według stawu, mości panie, buduj groblę, bo Bóg świadkiem, że wrychle pójdziesz z torbami. Pofolguj tylko fałszywej ambicyi, spraszaj gości i pij i jedz i poluj z nimi, trzymaj małą muzyczkę nadworną, sfory chartów, przednie ogary, niech sto sztuk zwierzyny pada na jednem polowaniu; obaczym wnet, czy dotrzymasz sąsiedzie wojewodzińskiej wystawności. Zrujnujesz się doszczętnie, spłuczesz do cna i cóż z tego ci przyjdzie?

Ale jeśli p. Samuela gniewało srodze życie nad stan, to z drugiej strony skąpstwo budziło w nim obrzydzenie. Rozrzutność

da przynajmniej zarobić biedzie, a skąpy dusi grosz i ani sam nie użyje, ani nikomu niczem nie usłuży. Kiedy go śmierć zabierze, spadkobiercy rozdrapią czemprędzej skarby i pójdą w swoją drogę, nad grobem zaś chciwego sknery nie zapłacze nikt, nikt nie westchnie, nikt go nie wspomni z żalem.

Więc p. Samuel wytknąwszy sobie drogę w pośrodku, smucił się, że wielu sąsiadów nad stan żyje, a oczy odwracał od skąpców, którymi gardził. Pilny bardzo, obowiązki pełnił sumiennie, wytrwałość okazywał wielką we wszystkiem. Jako szlachcic czuł nieprzeparty pociąg do roli, więc osiadłszy na wsi, gospodarował zawzięcie i przywiązywał się gorąco do owoców swej pracy. Przytem przyjemności sobie nie odmawiał i gdy zagrała trąbka, hasło polowania, czuł, że krew w nim żywiej grać poczyna, z zapałem przewieszał torbę przez ramię i strzelbę zdejmował z kołka. Od sąsiedzkich odwiedzin nie stronił, zwłaszcza lubił zebrania u wielkich panów, bo na nich szła rozmowa de publicis i niejedną ważną nowiną ciekawość zaspokoić się mogła.

Każdy szlachcic jak był gospodarzem, tak był również żołnierzem i rzucał lemiesz, by wziąć za kord, po wojnie zaś karabela szła w pochew, a ręka chwytała za lemiesz.

Żołnierzem był Twardowski z jedną w pierwszym rzędzie ważną zaletą, jakiej ogółowi brakowało. Rozumiał ważność dyscypliny wojskowej, którą tak lekceważono w Polsce! Dla żołnierskiego stanu, często pełnego trudu i przykrych niewygód współczucie miał wielkie:

„O iakoż są w swey doli żołnierze mizerni!
Nie próżno się wysączać zdadzą cudze poty,
Kiedy za to te nędze cierpią i lichoty!“ [1])

Sam przecież niejednej musiał zaznać przygody. W życiu obozowem wspólność niebezpieczeństw zaciska węzły koleżeńskiej przyjaźni i wzmacnia nici sympatyi ogromnie. P. Samuel druhem był wiernym i nad stratą drogiego kolegi rzewne łzy ronił; tak opłakiwał z uczuciem śmierć Stefana Tysieckiego, który koniuszym był księcia Zbarazkiego i w poselstwie tureckiem brał udział; tak wielu innym znajomym zaszczytne wzmianki pozostawił w swoich pismach.

---

[1]) W. d. cz. I. str. 70.

Bo rozumiał, jaka obok poczucia obowiązku pobudka grała w ich duszach. Miłość sławy. Rozkosz to nad rozkosze, ażeby:

„Po śmierci nie umierać y na wieki słynąć!“ [1])

Dla narodowych bohaterów cześć ma Twardowski ogromną, śmierć Żółkiewskiego [2]) opisuje tak, że czuć, jak w sercu poety drgał zapał i ból, podziw i żal straszny. Po umierających bohaterach wylane łzy, rozsiewa w swoich poematach, a świecą one jak czyste perły o szlachetnym blasku głębokiego uczucia.

Rycerski jest bardzo. Gdy wróg na niego godzi, wówczas cios odeprze, swój zada:

„...nizkiey jednak głowy
Miecz nie bije.“ [3])

Bo dla możnego wroga trzeba mieć szacunek, i gdy się podda, uszanować, gdy się ukorzy, „miecz w pół drogi wstrzymać“. Dla wrogów można nawet mieć pewną sympatyę, lecz nie bez wyjątku. Twardowski był człowiekiem o dobrem bardzo sercu; zdawałoby się, że uczucie nienawiści było mu obcem zupełnie. Ale on nienawidzieć umie, choć nie za siebie, jeno za Polskę. Tak Chmielnickiego nie cierpiał z całej duszy za wszystkie zbrodnie, za klęski zadane Polsce, za pożary Ukrainy i Rusi i z ulgą a pogardą po jego śmierci mówił, że „zdechł“ nakoniec. [4])

Męstwo oceniać zawsze umiał, w kimkolwiekby ono zajaśniało blaskiem, bo wiedział, że szlachetnego ducha pierwszym przejawem jest odwaga. Dzielność i śmiałość szlachcica jest jego naturalnym prawem i obowiązkiem, nagrodę same w sobie znajdują; lecz gdy pod Zbarażem raz krucho już było bardzo, a pospólstwo meżnie natarło i wiele przysporzyło korzyści, wówczas odzywa się, że

„Godniby za wiarę taką swoią nadani wolnością bydź wieczną“. [5])

---

[1]) Wład. IV. str. 240.
[2]) Leg. i Wład. IV. str. 85, 86.
[3]) Wład. IV. str. 50.
[4]) W. dom. cz. II. str. 238.
[5]) W. dom. cz. I. str. 69.

Sprawiedliwy w ocenianiu cudzych zasług, sprawiedliwy, surowy nawet dla siebie, miał prawo zupełne nie pobłażać cudzym winom, miał nawet poniekąd obowiązek, skoro natura obdarzyła go trafnym instynktem moralnym i zdolnością pisarską. Jakoż prawdę ciął ostro, zestawiając w „Satyrze na twarz Rzpltej“ długą litanię grzechów publicznych i prywatnych. Ale utrzymał się w sferach ogólnych, palcem nikogo nie wskazując, nie wypalając na nikim hańbiącego piętna. Paszkwil był mu obcą i wstrętną bronią, jak sztylet skrytobójczy. W historyach swoich nawet, gdzie z istoty rzeczy wynikała potrzeba wymieniania nazwisk smutnej pamięci, przecież o ile możności pomija je i osobistych wycieczek unika. Tak człowiekiem był najlepszym. Jego natura otwarta i szczera, pogodna i wesoła, prawdziwa natura polska! Na świat patrzył jakby z dobrotliwym uśmiechem i cieszył się, gdy wkoło widział twarze rozjaśnione szczęściem. Wolał wesołe śpiewki od dumek rzewnych i smutnych, wolał, gdy śpiew rodził uciechę, niż gdy tęsknotę budził i rzewność.[1]) Lubił żart rubaszny[2]) i figle i nieszkodliwe psoty. Trudno, żeby inaczej być miało, bo skoro w życiu wielu doznał przykrości, chciał przynajmniej o ile możności odpędzać smutek i w wesołości szukać zapomnienia.

Współcześni szanowali go i cenili jako charakter wysoko, to też zgodnym chórem świadczą[3]) o jego zacności tak, jak oddają hołd jego pracy na polu poezyi.

Natomiast wśród potomnych podniósł się poważny zarzut. Pomawiano mianowicie Twardowskiego o zbytnie pochlebstwo i bezwstydny panegiryzm względem magnatów. Nie całkiem sprawiedliwie. Przedewszystkiem w jego pochwalnych wierszach przebija się uczucie z pod fali frazesów i sztucznej gadaniny. Tak Władysława IV. musiał kochać i cenić szczerze, kiedy już po jego śmierci we „Wojnie domowej“[4]) rozpływa się nad nim w pochwałach i wspomina go rzewnie i ze czcią, z zapałem, z żalem; tak nie ruguje nigdy wdzięczności z serca dla Zbarazkich i ilekroć o nich mówić zacznie, zawsze dowody składa rzeczywistej ku nim miłości. Powyższe przykłady stwierdzają zarazem, że nie szczędzi pochwał dla ludzi, którzy już ze świata zeszli, od których

[1]) Leg. str. 195.
[2]) Leg. str. 161.
[3]) Gawiński, Kochowski, Potocki i t. d.
[4]) W. dom. cz. I. str. 12.

więc już nic dostać nie mógł. Następnie godzi się zauważyć, że sławił rody zasługujące na to, że prawie bez wyjątku panegiryki pisał o ludziach zasłużonych, że nie poniżał się sam, że mówiąc o pięknych czynach zarazem zachęcał do naśladownictwa, że w przesadę wpadał wprawdzie, ale nie często znowu, że w końcu nawet najwyżej położonej osobistości nie chwali, gdy jej nie lubi. O elekcyi Jana Kazimierza mówi tak niewyraźnie,[1]) potem tak o nim się wyraża, iż zarazem odpiera zarzut bezwzględnego pochlebstwa, jaki na nim ciąży. Potem co prawda nawraca się do Jana Kazimierza, ale dopiero wówczas, kiedy miał jawne przykłady królewskiej dzielności. To nawrócenie, wywołane sprawiedliwem ocenieniem faktów, raczej właśnie chwały Twardowskiemu przysparza.

Nie poniżał się Twardowski przedewszystkiem dla tego, że honor swój szlachecki cenił wysoko. Turcy, nawet możni Turcy mogli brać munsztułuki, ale on mógł się tylko temu dziwić.[2]) Niskie prośby tracą liberyą, a lizuństwo żydowskim hałatem: tak czuł Twardowski i tem się brzydził.

A dumny był ze swego stanu bardzo. Szlachcic[3]) „świat ma otwarty... do godności wszelkiej“, „nic mu trudnego i niepodobnego“,[4]) szlachcic ponad inne wyrósłszy stany i ponad inne narody, dbać winien o nieskalaną czystość obyczajów i pielęgnować polskość w mowie, strojach, we wszystkiem. Precz z cudzoziemszczyzną:[5]) z niej wykwita jadowita obłuda, ona sprowadza zniewieściałość i kazi polskiego ducha.

Polski zaś duch w szlachcicu taką fantazyą wybucha, że olśniewa, porywa, zachwyca. Taki Kordecki, taki Żegocki, taki Wiśniowiecki... imion ich legion, wielki, sławny, barwny jak tęcza, świetlisty jak słońce, ukochany, w historyi wszechświata najliczniejszy. I Twardowski zabłysnął świadectwem takiej fantazyi, kiedy z poselstwem Zbarazkiego w Konstantynopolu, niby w ja-

---

1) W. dom. cz. I. str. 40.

2) Legacya.

3) Jako szlachcic zajmuje się pilnie genealogią domów i wierzy w bajeczne pnie drzew genealogicznych. „Leg.“, „X. Wiśniow. J.“ i t. d.

4) Miscel. selec. wyd. z 1770, str. 78.

5) Satyr.

mie pełnej śmiertelnej grozy zamknięty, przetrzymuje wszystkie pogróżki, wszystkie niebezpieczeństwa, wszystkie trwogi z odważnem sercem, z dumnie podniesionem czołem.

Myślący człowiek, trudno żeby miał zawsze jedno przekonanie i jedną wiarę. Ograniczony umysł raczej nie ma wątpliwości, bo zsuwa się po wierzchu zjawisk i spostrzeżeń, cudzą myślą żyjąc, obcemi przekonaniami nakarmiony nigdy samodzielnie nie skontroluje zgodności życiowych faktów z ogólnemi zasadami swojej wiary. Umysł głębszy ma nieraz wątpliwości; szczęśliwy gdy je pokona, nieszczęśliwy, gdy pozwoli im miotać sobą i rozterkę wewnętrzną jątrzyć w jedną wielką, niezgojoną ranę. W duszy Twardowskiego, zwłaszcza po nieszczęściach spadłych na ludzi cnoty, rosły sceptyczne pytania, jak rosną złe, jadowite grzyby po deszczu. Oto powiada, że nieraz z Brutem na myśl mu przychodziło,[1]) czy Bóg opiekuje się sprawami świata, czy też los, ślepa fortuna bez praw moralnych rządzi niemi. We wielkim porządku celowym materyi,[2]) w doskonałym, przepysznym układzie świata widzi rękę Bożą. Ale z ludźmi inaczej. Źli „kwitną w swej złości“, a dobrzy przepadają mimo cnoty, nawet świętokradców nie chłonie ogień z nieba, nawet świętych prześladuje nieubłagane nieszczęście. Czyżby sprawiedliwość była czczą ułudą?

Dopiero Chmielnicki upadkiem swoim mimo ogromnego powodzenia i początkowej bezkarności zbrodni wybił Twardowskiemu tę wątpliwość z głowy, więc zakłopotał się wierzący szlachcic, zawstydził swej słabości i o jedno doświadczenie bogatszy pospieszył z drugimi podzielić się zdobyczą duchową:

„Ani ia iuż, fantazyi iakich o tym marzę,
Ani próżno na Boga moiego się skarzę
Zawsze sprawiedliwego: który złych im wyżey
Wzniesie w górę, tym na dół zturbuie ich niżey,
I kształtem roztrąconey na wiele sztuk skały
Stłucze ciężko.“ [3])

---

[1]) W. dom. cz. II. str. 1.
[2]) W. dom. cz. II. str. 1; 205.
[3]) W. dom. cz. II. str. 2.

Twardowski zastanawiając się nad naturą ludzką usiłował dociec, jakie są zbiorowe jej cechy. Niefilozoficzny umysł nie potrafił naturalnie dorwać się głębokich rezultatów i kontentował się przeważnie porównywaniem wyniku własnych badań z aforystycznemi uwagami popularnych pisarzy łacińskich. To też filozofia jego prosta nosi wogóle charakter bardzo przeciętny, średni i nigdy nie uderza niezwykle bystrą, czy śmiałą uwagą. Tak i pogląd jego na istotę ludzkich namiętności w kilku miejscach oszczędnie rzucony do pism odkrywa wrodzony rozsądek zbogacony doświadczeniem, — nic więcej.

„Złym być z natury wrodzona człowiekowi“. [1]) Wobec takiej tezy pozornie nie byłoby odpowiedzialności za występki, ale Twardowski wie zarazem, że jest w człowieku łaską Bożą dodana moc, która może podjąć skuteczną walkę ze złemi skłonnościami, a dlatego wówczas dopiero godzi się rzucić potępienie, kiedy walka nie miała miejsca zupełnie, albo była prowadzona ospale. Oprócz namiętności wrodzonych istnieją jeszcze nabyte. „Nałóg rzecz wielka“. [2]) Trudno się z niego otrząsnąć; gdy wejdzie w krew, wtenczas wojowanie z nim jest tak samo żmudne, jak z wrodzonymi popędami, bo „consuetudo est altera natura“. Jeśli zaś komu los służy i wszystko powodzi się jak najlepiej, to przez to walka staje się najcięższą.

„Nie zna człowiek nieszczęścia y przyszłey przygody,
Umiarkować nie umie za szczęsney pogody“. [3])

Jego krótkowidztwo przypuszcza, że zawsze tak będzie, jak jest; jego powodzenie zuchwałość w nim podnieca i zapamiętanie takie, że prawo moralne przestaje uważać za obowiązujące i rzeczywiste. Tymczasem prawda zwycięży zawsze w końcu i „tryumfalne proporce rozwinie“. [4]) choćby kłamstwo szczęśliwie ludzi mamiło i zysk ciągnęło z oszustwa. Tak i złość w końcu ukaraną być musi, tak naodwrót przykładem (na Wiśniowieckim) można stwierdzić:

„że żadne obroty
Żadna ludzka machina nie pogrąży cnoty“. [5])

---

[1]) Satyr, str. 14.
[2]) Leg. str. 33.
[3]) Leg. str. 33.
[4]) Satyr, str. 2.
[5]) W. dom. cz. I. str. 104; potwierdza: W. d. cz. II. str. 11.

Dzieje się tak dla tego, ponieważ Bóg we wszystkie sprawy wglądając, zrazu pozwala złym źle postępować, póki się nie opamiętają i nie opatrzą, lub nie przebiorą miary. W drugim przypadku najpierw odbiera zastanowienie winnemu, który przez to sam już sobie gotuje upadek. Prawda to tak w stosunku do człowieka, jak i do całych państw, jakoż

„...gdy kres zamierzy i którey chce ruszyć
Z miejsca Bóg monarchiey, pierwey radę zdrową
I ludzie iey odeymie.“ [1])

Jeżeli się chce kogoś do siebie przywiązać, nie należy bezwarunkowo postępować z nim surowo i nieustannie trzymać nad jego głową strachu i trwogi. „I jako ten nie zdradzi, kto zawsze się boi“. [2]) Lęk, obawa kary twarz stroi w uśmiech i o przywiązaniu zapewnia z przymilaniem się, ale równocześnie natęża wzrok, czy nie nadarza się sposobność zrzucenia jarzma i prędzej czy później szuka zemsty. Niezaprzeczona znajomość natury ludzkiej!

Ciekawy jest pogląd Twardowskiego na kobietę.

Przy czytaniu jego pism odnosi się wrażenie, że lada chwila skoczy do oczu sławne wyrażenie Seneki „animal impudens“ i w sylwetkę jakiej niewiasty stopią się wszystkie niskie instynkta i złe popędy. Przedewszystkiem płochość i niestateczność kobiet jest jego zdaniem tak wielka, że hamulcem dla nich nie zdoła być rozum, nawet gdyby go która posiadała w wysokim stopniu, nawet gdyby biblijnego króla Salomona w kąt zapędziła wiedzą. [3]) A już te naczelne wady, w bezmiernej wietrzności charakteru ciągną za sobą coraz szerszy ogon złych przymiotów, jak kometa wlecze coraz obficiej rozsypany warkocz iskier. Tak kobieta bez względu na majątek męża, któremu nieraz gotuje ruinę, sprawia ogromnie kosztowne stroje, bo próżność nie pozwala jej

---

[1]) W. d. cz. I. s. 1. powtarza w cz. II. str. 140, choć nie dosłownie. Homerycki to zwyczaj.

[2]) W. d. cz. I. str. 5.

[3]) Satyr. str. 25.

ustępować nikomu w wystawności. Próżność ta każe jej niejednokrotnie chwytać do ręki broń podstępu, bo gdy mąż zachceniom odmawia, wówczas udana choroba, pochodząca niby z rozżalenia, wszystko na nim wymódz może. Mężom hańba na wieki, gdy są takimi pantoflami, ale wstyd kobietom, że do niej przywodzą. Cóż dopiero rozwiązłe życie, skalanie rodzinnego ogniska, a co za tem idzie zły przykład i zły wpływ na młode panienki, które na grzech patrząc, z grzechem się oswajają! Na domiar ujemnej charakterystyki kobiet służy fakt, że one w żadnej rzeczy nie znają statku i przesadzają we wszystkiem. Najgorzej jest, gdy kobieta dorwie się do władzy, bo ta

„...płeć z płochości
Ku tyrańskiey się chyli prędko okrutności“,[1])

i już gruchocze prawa boskie i ludzkie z zapamiętałością bezwzględną.

Tylko jeden jest wyjątek, albowiem pod jednym względem kobieta nie potrafi przesadzić: w rozumie, i jego konsekwencyi: w hartowności przekonań. Prawda, że wiary nie zdoła obalić sceptyczne dowodzenie, ale przekonania, jeśli za niemi nie stoją logiczne przesłanki, lecz tylko słaba intuicya lub instynktowy pociąg, obracają się jak chorągiewki na dachu, byle w nie mocniej dmuchnąć, byle je do muru przyprzeć. Więc Twardowski takie żywiąc o kobietach wyobrażenie, nauczony doświadczeniem, że pod naciskiem jego inteligencyi nie wytrzymuje oporność niewieścich sądów, rzuca w końcu pytanie:

O któraż Białogłowa, kiedy nie woskowa,
Z którey co chce ulepić każdy snadnie może?“[2])

Lecz sposób jest niezaprzeczony, ażeby wznieść kobietę na wyższy poziom moralny i umysłowy. Wychowanie. Gdy to będzie czujne, gdy troskliwie zły przykład oddali, gdy w dziewczęcej duszy zażegnie ogień zapału dla religijnych ideałów, wówczas będzie lepiej. Panienki kochać się winny nie w swojej zewnętrznej pię-

---

[1]) Leg. str. 158.
[2]) Wład. IV. str. 24.

kności, ale w wewnętrznych przymiotach. Niechaj wiele i pilnie pracują, bo praca jest nieprzebitą tarczą przeciw namiętnościom. Kiedy naodwrót z żartów, ze śmiechów, z zabaw złych, z tańców hucznych, które krew burzą, z korespondencyi, niby z razu niewinnych, wszystko złe się rodzi. Przedewszystkiem oczu strzedz należy! Bo przez nie wpełza namiętność do serca i w sercu piekielną rozpoczyna gospodarkę.

Mimo tak ujemnego poglądu na kobietę, miłość rozumiał i wiedział, że nie da się w walce z uczuciem wyjść obronną ręką. Jego miłość nosi naturalnie cechy bardziej średnie, nie sięga idealnych porywów, a choć często zespoli się z czystą tęsknotą i rozrzewnieniem, przecież głównie jest zmysłowo namiętną. Innego typu prawie nie wyobraża sobie i redukuje miłość do naturalnego pociągu dwu płci. Jego wierszy erotycznych nie mamy. Dwa dodane do „Daphnis“ wyrażają żal z powodu rozstania z ukochaną, w której ujmuje go wdzięk i niewinność. Do kogo były pisane — orzec trudno, zresztą nie odznaczają się niczem wybitnem. Jako mąż był zdaje się dobry, co wnosićby można z jednej ody (z Horacego przerobionej) — jako ojciec dla wcześnie zmarłej córeczki [1]) był pełny miłości i rodzicielskiego przywiązania, czego dowodem po jej śmierci napisane cztery „Treny“.

W duszy szlachcica polskiego pojęcia religijne i narodowe tak się wzajemnie splatały, że rozciąć je dokładnie, oznaczyć, gdzie się jedne kończyły, drugie zaczynały, jest niepodobieństwem. Szlachcic bił się równocześnie za wiarę i za ojczyznę, bo w nieprzyjacielu widział zarazem wroga religii i rodzinnego kraju. Twardowski jest zupełnie w stylu swego czasu. Polacy poturczeni srodze go bolą,[2]) nie tylko jako odstępcy ojczyzny, lecz także katolicyzmu. Wierzy w Nemezis dziejową, która Konstantynopol odda w ręce chrześcijan [3]) i zgnębi Turków, którzy dotąd najeżdżali Polskę i świat katolicki.

---

[1]) Maryanny.
[2]) Leg. str. 106.
[3]) Leg. koło str. 100.

Chociaż jednak Twardowski był przez całe życie gorąco wierzącym człowiekiem, przecież nie posuwał się do fanatyzmu i okazywał tolerancyjność religijną jak narodową. [1]) Żydów nie cierpiał wprawdzie zawsze, [2]) ale też uważał ich za istoty minorum gentium: natomiast dla innowierców był wyrozumiały, nawet wcale pochlebnie się o nich wyrażał. [3]) Dopiero pod koniec życia na widok zdrad dyssydentów, którzy przełożyli interesa osobiste nad dobro ojczyzny, dopiero kiedy doświadczył, jak ich patryotyzm szedł w puch wobec najezdnika, mającego wspólną z nimi wiarę, wówczas stał się w swoim rzymskim katolicyzmie wyłącznym i radby „oczyścić dom z śmieci“ obcych religią, chwiejnych w miłości ojczyzny.

Jest zarazem papistą. Kościół jest jeden, powszechny, stolica Piotrowa powinna nad nim niepodzielną władzę sprawować. Dumny patryarcha walczył o prymat z papieżem, a potem czołem bić musiał wezyrowi. [4]) To boli: to boli bardzo, lecz kara jest w tem Boża za pychę, lekceważącą prawdziwą konieczność jedności naczelnej władzy kościoła.

Jak tu, tak i wszędzie widzi Twardowski rękę Bożą, która już to nagrody rozdaje, już to karami nęka. Więc siły natężyć, wolę skupić, wytrwałość w pomoc przyzwać należy, by zarobić na łaskę niebios. Źle jest, gdy kto nie rozumie tej prawdy. Nie uznają jej częstokroć Polacy, gdy się na specyalną opiekę Bożą zdają i sądzą, że bez pracy od nieszczęść Opatrzność ich uchroni.

Twardowski nie jest powierzchowny w swojej religijności i zewnętrzną świetność obrządku dość lekko waży w stosunku do treści. „Mniey trway o to (ładny pogrzeb), gdy dobrze dziać się będzie z duszą“ [5]) powiada w „Legacyi“, niejako do zmarłego Tysieckiego się zwracając. Lecz przez ten brak powierzchowności tem bardziej oburza się, gdy zobaczy, jak ktoś obłudnie wielkiego

---

[1]) Wład. IV. str. 18.

[2]) Leg. Woj. dom. — liczne ślady.

[3]) Wład. IV. str. 217. Woj. dom. cz. II. str. 212. Satyr: O sądach, str. 16.

[4]) Leg. str. 207.

[5]) Leg. str. 159.

słowa religii używa za hasło, aby osłonić egoistyczne cele. Tak u Turków

„Płaszczem się religicy pokrywa ochota,
A w rzeczy nic innego ieno chciwość złota“.[1])

Tak księża niektórzy wyzyskują swoje stanowisko, żeby napełnić trzos i zaspokoić łakomstwo. W „Satyrze“ za to schłostani zostali.

Zabobonność pospolita w XVII. w., niemal powszechna, wkradła się naturalnie także w ten średni umysł, jakim był Twardowski. Wierzy on w wróżby,[2]) wierzy w złe omina,[3]) wierzy w sny,[4]) wierzy w szkodliwą potęgę czarownic. Nie dziwi go ścięcie wieszczki, która Firlejowi przepowiedziała przegraną, bo jest zupełnie przekonany, że Chmielnicki przysłał ją, ażeby uroki rzucała na polskie wojsko.[5]) Zabobon do dziś dnia przechował się we wielu sferach, czyż można się dziwić ówczesnym ludziom?

Patryotyzm Twardowskiego zespala się z religijnością, jak to wyżej już zaznaczyłem. Jest on Polakiem z krwi i kości i dumnym z tego, że jest Polakiem. Wierzy w specyalną opiekę Bożą nad swoją ojczyzną,[6]) to też dzięki tej wierze jest jakby cieniem w przeszłość przez mesyanistów rzuconym. Rozumie jednak patryotyzm obcy,[7]) jeno innemi narodowościami pomiata, lub je lekceważy. Względem Szwedów po sławnym najeździe za Jana Kazimierza czuje nawet bezwzględną nienawiść. Turcyi nie znosi od zarania lat swoich; wszelki związek z sułtanem smuci go, więc boleje nad przymierzem z Turcyą, jakie Polska zawarła przeciw

[1]) Leg. str. 158.
[2]) Np. Wład. IV. str. 19, 74, 100.
[3]) Tamże, str. 45.
[4]) Tamże, str. 102.
[5]) W. dom. cz. I. str. 49.
[6]) Tamże, str. 3 i 43.
[7]) Wład. IV. str. 18.

Moskwie i Kozakom.[1] Niemcami gardzi. pomocnicze wojska austryackie w wojnie ze Szwedami uważa za łupieskie i niedołężne.

Z ód Sarbiewskiego wybiera te do tłumaczenia. które zagrzewają do męstwa, miłości współplemiennej. cnoty. poszanowania praw ojczystych. Sam zagrzewa także do ofiarności publicznej i karci skąpstwo szlachty w tym względzie.[2] Zarazem sądzi. że wszyscy Polacy powinni być owiani ideą wspólności i braterstwa. a nie egoistycznie troszczyć się wyłącznie o swój powiat i nie dbać o rodaków najechanych przez wroga.

Zdradą brzydzi się zasadniczo.[3] A jednak pisze „Omen". Jak to pogodzić ze sobą? Nie sposób. Można go tłumaczyć. nie można usprawiedliwić. Odczuwał wszystkie nieszczęścia ojczyzny i przejmował się bólem na widok klęsk; wówczas zawiodło go patryotyczne sumienie. Plama zostaje na nim. jak na jego towarzyszach w odstępstwie. Plama ta blednie, jeśli się rozumie ówczesne poglądy: blednie, ale nie znika.

Wśród szlacheckiego społeczeństwa. które dążąc do absolutnej swobody, rozkochane w złotej wolności patrzyło na króla zawsze z nieufnością i podejrzeniem. że zapragnie samowładzy. — stanowi Twardowski rzadki wyjątek. Jest rojalistą. Fakt to tem ciekawszy. że jego najbardziej umiłowany protektor, Krzysztof Zbarazki, często bruździł w królewskich zamiarach. Ale Twardowski ma bystry zmysł polityczny i widząc, jak niezbędne reformy inicyuje tron. choć bez skutku. przywiązuje się do idei królewskiej i głosi ją wprawdzie nie wprost, ale pośrednio. Wiara w dziedziczność i intuicyjne odgadywanie, może świadomość, że siła ducha dobywa się przez kształt zewnętrzny, tworzą w nim teoryę o samej fizycznej postaci króla, która zdradza władzę już w samych rysach twarzy.[4] Oczywiście przejmuje go okropnem oburzeniem sprawca zamachu na Zygmunta: imienia zbrodniarza nawet umyślnie nie wymienia.[5] Mniej naturalnie. ale zawsze gniewa go nie-

---

[1]) W. dom. cz. II. str. 121 i 151.
[2]) Woj. dom.
[3]) Wład. IV. str. 83.
[4]) Tamże, we wielu miejscach.
[5]) Tamże, str. 98.

dowiarstwo względem króla i nałogowa opozycya szlachty. Otóż ten rojalizm piętrzy jeszcze trudności zrozumienia „Omenu“ zwłaszcza w połączeniu z jego zasadniczym konserwatyzmem:

„...każda jest odmiana
Niebezpieczna z natury, cóż dopiero w Pana
Nieznanego poddanym“. [1])

Twardowski bierze w obronę Wielkopolan, że się szybko poddali. Tłumaczy ich: nie posiłkowani ani ludźmi, ani armatą, nie wspomożeni nawet przez sąsiednie województwa, jakżeż wytrzymać mogli? Dajmy na to, że nie mogli wytrzymać. Ale między poddaniem się, a popieraniem obcego króla, czy nie ma przepaści całej?

Politykiem wojny nie był podobnie, jak ogół szlachty. Kiedy po obiorze Jana Kazimierza, Chmielnicki cofnął się i jedni radzili bić go, drudzy zatrzymać pokojem, Twardowski tych drugich nazywa „uważniejszymi“. [2]) Swoją drogą w tym wypadku potem zdanie zmienił, gdy się przekonał o uporze i całej perfidyi Chmielnickiego.

Politykiem jest także spokojnym i nie zacietrzewia się względem nieprzyjaciół wogóle, chociaż czasem uznaje wyjątki. O synu Krzywonosa powiada, że powinien był „za oyca słusznie bydź na palu“, [3]) a o samym Chmielnickim wyraża się z pasyą; co prawda jednak ci dwaj przebrali miarę ludzkiej wyrozumiałości.

Jako polityk zewnętrzny jest Twardowski znowu, jak szlachta ówczesna, mało przedsiębiorczym. Wyprawy bowiem z Dymitrem lub na Wołoszczyznę mają charakter awanturniczy raczej, niż jakiejś konsekwentnej myśli politycznej. Inaczej było z królami; wszyscy Wazowie hodowali daleko sięgające pomysły, niestety właściwie zupełnie pozostałe w sferze zamiarów. Twardowski popierał plany Zbarazkiego, a potem Władysława IV. i Koniecpolskiego hetmana, którzy marzyli o zupełnem zgnieceniu Turcyi. Tę ideę propagował nawet dość usilnie, [4]) lecz jest to

---

[1]) Woj. dom. cz. II. str. 141.
[2]) Tamże, cz. I. str. 42.
[3]) Tamże, str. 50.
[4]) Leg.“ „Wład. IV.“ Tłum. z Sarbiewskiego. Koniec „Szczęśliwej moskiew. eksped. Wład. IV.“

jedyny przykład przedsiębiorczości i tak inspirowanej przez kogo innego.

Twardowski nienawidzi tyranii. W równej mierze anarchii:

„...żaden nie brykał
Tyran długo i państwa, które są gwałtowne,
Ani prawem i rządem iakim są warowne
Muszą przez się upadać“.

Takie rozumne założenie pociągnęło rzecz prosta zastanowienie się, czy w Polsce sprawy idą należytym trybem, czy też nie. Twardowski nie zostawił po sobie systematycznego poglądu na stan Rzpltej, ale w licznych dygresyach po historycznych poematach, w „Satyrze“ i krótkich wierszach są ślady, jakie widział, luki w ojczystym prawie i rządzie. Tyle zaś daje dowodów zdrowego politycznego zmysłu, że suponować się godzi jak najzaszczytniej o całokształcie jego poglądów w tej materyi.

O królu i chorobliwym stosunku szlachty do króla mówiłem wyżej. O karności wojskowej [1]) i żelaznej dyscyplinie także. Szczególnie ciekawe i miarodajne są jego uwagi o pospolitem ruszeniu. [2]) Źle jest — powiada — że spuszczamy się na nie, skoro to nasz grom ostatni. My jednak musimy od razu nim uderzać, czyli po niepowodzeniu zostajemy z gołemi rękami. Dawniej to było możliwe i dobre, pókiśmy „w obrotach“ zawsze bywali i bez długich „konsultacyi“ uderzali. Teraz zdajemy się na kilka tysięcy zaciężnych, lecz czy to dosyć straży od pogan, dla pokoju i złotej wolności? Pospolite ruszenie jest niesprawne, gadatliwe i nie zna subordynacyi. Przyznajmy (powiada):

„Żeśmy męstwo wyzuli, że się bić nie chcemy,
I więcey prócz uciekać grubo, nie umiemy,
Więc szerzem się na włości i przy kuflach srogich
Niemal krew wysączaiąc z oraczów ubogich
Wiele dokazuiemy; a gdy do potrzeby,
Abo się absentuiem, abo o tym, gdzieby
W stronę umknąć, myślimy“. [3])

---

[1]) Woj. dom. cz. II. 83.
[2]) Tamże. cz. I. 84.
[3]) Tamże, cz. II. 72.

Obraz smutny, niestety prawdziwy. Rada na to: łanowe tworzyć piechoty.

Podobnie powstaje Twardowski na gadulstwo i zrywanie obrad w sejmach.[1]) politykomanię i dysputowanie dla dysputowania.[2]) niedojrzałą młodość senatorów, zły, próżny skarb, przekupstwo urzędów, nawet sądów, upadek handlu, prywatę i rozhukane umiłowanie swawoli.

Ten szlachcic prosty i szczery, żołnierz i obywatel-gospodarz, gorący katolik nie bez zabobonności, patryota i rozumny polityk, często okiem ducha spoglądał w przyszłość pozagrobową swojego imienia i z pogodą w sercu marzył o nieśmiertelności. Był poetą. Nie tu wyznaczyliśmy sobie miejsce na rozbiór jego talentu i określenie cech twórczości: pragniemy jedynie parę słów powiedzieć o wiązaniu, jakie spajało charakter człowieka z usposobieniem poety. Czuł on nieraz, jak dziwna siła rozpalała się w jego duszy i jak natchnienie spływało z nią razem. Wówczas podniesiony duchem wyrywał się myślą z ziemskiego otoczenia, a przyzwyczajony wszystko tłumaczyć na język klasyczny, swój stan gotów był zawdzięczać Muzom z orszaku delickiego boga, jakby one kładły ręce na strunach jego wyobraźni i poczynały grać na nich natchnione melodye. Dumny z łaskawości Muz, o zawodzie poetycznym bardzo wysokie miał pojęcie, bo sądził, że w chwilach twórczego podniecenia godzien jest zasiąść do olimpijskiej biesiady w gronie bogów. Nie miała jednak poezya jego służyć próżnej i wietrznej piękności, jeno przez piękność prawdzie:

„Jowiszowe córy,
Które coś nam za ducha posyłacie z góry,
Że onym napuszeni uderzać się zdamy
Głową w niebo y Bogów samych dosięgamy,
Stołu ich uczestnicy, nie iako po grudzie,
Albo czołach Stojickich, ale prawdę w ludzie
Wierszem wdzięcznym wmawiając...“ [3])

---

[1]) „Na seym“. Mis. sel. 92.
[2]) Satyr.
[3]) Wład. IV. str. 1.

I nie mógł szlachcic polski inaczej pojąć swego zawodu, bo praktyczny pożytek społecznej służby pociągał go za silnie. Współczesna Polska ceniła go wysoko i zgodnie nazywała polskim Maronem bez poczucia, że wpada w przesadę. On zaś mówił spokojnie jak Horacy, o sławie swojej pośmiertnej: „urodziłem się do poetyki, zkąd spodziewam się imienia nieśmiertelności“ [1]) i wolny był od trwożliwej drażliwości autorskiej, od zazdrości względem kolegów po piórze.

Estetycznie nie był wyrobiony i w odczuwaniu tak natury, jak sztuki objawiał zapał średni. Z opisu dawnego kościoła świętej Zofii, [2]) dziś meczetu w Stambule, z opisu pałacu sułtana [3]) nie wymiarkować się nie da o wrażeniu, jakie architektura na nim wywoływała, a samo takie milczenie świadczyłoby ujemnie. Dla malarstwa może miał podziw, ale podziw nie jest estetycznem zadowoleniem. Muzyka, najłatwiejsza do odczucia, pewnie oddziaływała na niego najsilniej. Orfeusza zawsze z dumą wspomina i wierzy w potęgę melodyi, bo:

„po iego lutni
Słonie, lwi y Pardowie skakali okrutni“. [4])

Swoją drogą zabawny i ucieszny musiałby być widok, gdyby słoń z lwem zaczęli hołupce wybijać. Ale zawsze dowodem to zostanie, że rozumiał silny wpływ muzyki na nerwy nawet najgrubsze. Wysokiego pojęcia naturalnie i rozumienia muzyki nie miał. Na natury pierwotne oddziałują dźwięki wprost fizyologicznie i rytm, melodya, która bieg krwi przyspiesza, jest najwyższym wyrazem sztuki tonów. Twardowski również jest niewymagającym i oto przyznałby pochopnie wyższość nad samym Orfeuszem automatowi muzycznemu, który przecież nie może mieć wyrazu, który musi być bezbarwny, jakby tępy i suchy. Kiedy naprzykład opi-

---

[1]) Mis. sel. str. 91 (z Horacego oda).
[2]) Leg. 139.
[3]) Ibidem.
[4]) Ibidem.

suje srebrny kołowrotek (darowany przez księcia Zbarazkiego matce sułtana), w którym był instrument samogrający, tak mówi:

„Zewnątrz tony y panzy tak się w nim zgadzały,
Że kołem obrócone same strony brzmiały
Francuskie Pasamedze. Gdzieżbyś się nie zdumiał?
Y cobyś o Orfeu z lutnią tu swą umiał? [1])

Dr. Stanisław Turowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Leg. str. 103.

KLUB PATRYOTYCZNY WARSZAWSKI
w czasach powstania listopadowego
(1830 — 1831).

(Ciąg dalszy).

VII.

Posiedzenie klubu 27. stycznia. — Oddziaływanie na wojsko. — Projekty pism. — Głos Wójcickiego. — Wyznaczenie komisyi. — Grzymała za ogłoszeniem nowych wyborów. — Wniosek Psarskiego. — Protest ob. Dorożko. — Projekt adresu do Piotra Wysockiego. — O zniesieniu komisyj wojewódzkich. — Wójcicki za zniesieniem list płacy biskupów i prałatów. — Ks. Pułaski w obronie biskupów. — Wniosek ks. Tęsiorowskiego. — Sołtyk o artykule *Nowej Polski*. — Mochnacki i Gurowski chcą ustąpić z klubu. — Głosowanie.

27. stycznia na posiedzeniu klubu pod prezydencyą ks. Pułaskiego ob. Woliński rozwinął potrzebę obznajmiania wojska z wypadkami krajowymi. Radził w tym celu, by wezwać redaktorów poważniejszych dzienników warszawskich do przesyłania za pośrednictwem głównego sztabu pewnej liczby egzemplarzy tychże pism wojsku.

Obyw. Miklaszewski, Kacperski i Kazim. Wład. Wójcicki silnie poparli ów wniosek, z uwagi, że dotychczas „żaden jeszcze

z naczelnych wodzów nie przemawiał z entuzyazmem do żołnierzy". Należałoby podnieść w wojsku ducha obywatelstwa i wlać w nie przekonanie, że „*una salus est nullam sperare salutem*".

Obyw. Dmochowski przemawiał za potrzebą wydawania specyalnej gazety dla wojska.

Wyznaczono do ułożenia w tym przedmiocie projektu komisyę, złożoną z Wolińskiego, Miklaszewskiego, Wójcickiego, Dmochowskiego i Janowskiego.

Fr. Grzymała radził wystosować do Sejmu petycyę, by się za nieustający ogłosił. Przypomniał obyw. Szuszkowski, iż poseł Ledochowski już taki wniosek był poprzednio uczynił.

Obyw. Krzymuski chciał, by wyznaczono deputacyę z 14 posłów i senatorów, któraby ciągle obradowała. Radził, by Izba ustanowiła nowe prawo o wyborach i nowe wyznaczyła wybory.

Obyw. Psarski radził, by na wypadek ogłoszenia Sejmu za nieustający, obyczajem przodków pomieścić posłów w zamku i utrzymywać ich kosztem narodu.

Obyw. Dorożko był przeciwny nowym wyborom, twierdząc, że Sejm obecny zasłużył na zaufanie Ojczyzny.

Na wniosek Kamilla Mochnackiego zebranie poruczyło oddzielnemu komitetowi ułożenie adresu do Piotra Wysockiego, z wynurzeniem wdzięczności za jego zasługi dla rewolucyi.

Czytano list Aleksandra hr. Walewskiego z doniesieniem o przyjaznych uczuciach gabinetu paryskiego dla Polski, oraz inny list z nad granic Litwy o wrzeniu w wojsku rossyjskiem.

Obyw. Moszyński dowodził potrzeby zniesienia komisyj wojewódzkich, które opóźniają tylko egzekucyę rozkazów rządowych.

Odparł Jakubowski, że byłoby to naruszeniem konstytucyi w punktach *de facto* nienaruszonych, a przez Sejm uświęconych.

Obyw. K. Wł. Wójcicki był za zniesieniem wielu urzędów cywilnych, a bardziej jeszcze za wymazaniem z list płacy pensyj biskupów i prałatów.

Kacperski zarzucił, że nadwerężenie w czemkolwiek przywilejów biskupich mogłoby niekorzystnie oddziałać na ludność.

Wszelako Dmochowski poparł wniosek Wójcickiego i jemu też powierzono opracowanie projektu odpowiedniego.

Prezydujący ks. Pułaski wyjaśnił, że wielu biskupów poczyniło już znaczne ofiary, a wymagana oszczędność mogłaby być pozyskaną przez zmniejszenie biskupstw i seminaryów.

Na wezwanie prezydującego ksiądz Tęsiorowski zdał raport z projektu rozkrzewiania ducha obywatelstwa między ludem. Po-

stanowiono wydawać pismo: Tygodnik patryotyczno-religijny. Dmochowski był za wydawnictwem litografowanem, jako tańszem, patryotycznych kazań i artykułów do pojęć ludu zastosowanych.

W końcu obyw. Miklaszewski podniósł projekt papierowej monety.

Nazajutrz d. 28. stycznia prezydował klubowi Roman hr. Sołtyk i w zagajeniu oświadczył, że artykuł *Nowej Polski* pod tyt.: Własność języka polskiego, przykre uczynił na Sejmie wrażenie, a jakkolwiek klub obrał sobie owo pismo za swój organ urzędowy, to jednak z pomienionym artykułem nie ma nic wspólnego.

Obyw. Miklaszewski był za podaniem Sejmowi adresu usprawiedliwiającego.

Ks. Pułaski uznał taki adres za zbyteczny, gdyż klub nic o artykule nie wiedział. Grzymała w tym samym przemówił duchu.

Sołtyk oświadczył, że należałoby ogłosić w pismach o uczuciach klubu dla Sejmu.

Po oddaleniu się Sołtyka, krzesło prezydyalne objął ks. Pułaski i odczytał listy Maurycego Mochnackiego i Gurowskiego, proszące o zwolnienie ich z udziału w klubie, z uwagi, że jako współpracownicy *Nowej Polski* nie chcą ściągać na klub niechęci Sejmu.

Dały się słyszeć oklaski, co znów wywołało podanie się do dymisyi członka Chrząszczewskiego. Nowe oklaski.

W tej chwili ks. Pułaski oświadczył, że i on klub opuszcza, gdyż uważa się za objętego niełaską kolegów dla Mochnackiego i Gurowskiego.

Obyw. Miklaszewski zaklął oddalających się, by pozostali, gdyż byłoby to z ich strony czynem nieobywatelskim.

Obyw. Kotlik przypomniał słowo honoru, obowiązujące członków klubu.

Zgodzono się wreszcie zarządzić głosowanie nad wykreśleniem protestujących z liczby członków.

Większość zgodziła się, by nie wykreślać tych, którzy tego żądali.

VIII.

Pamiątkowy obchód nocy listopadowej. — Sala akademicka. — Zagajenie Lacha Szyrmy. — Wiersze Hunnickiego. — Mowa Hubego źle przyjęta. — O Gołuchowskim. — Wiersz Magnuszewskiego na cześć młodzieży. — Kiciński. — Dmochowski. — Śpiewy dam polskich o 3. Maja i Cześć polskiej ziemi. — Obchód patryotyczny u Karmelitów. — Ks. Pułaski i Adryan Krzyżanowski. — Straż honorowa. — Grzymała o męczennikach polskich. — Przysięga ludu. — Poznańczycy. — Wieczorne posiedzenie klubu. — Przeciw Geraldowi Witowskiemu. — Świeca symboliczna.

Dzień 29. stycznia 1831 r. wybrał klub jako święto pamiątkowe dla uczczenia daty powstania listopadowego. O 5-tej wieczorem wszystkie miejsca sali akademickiej zapełniły niezliczone tłumy. W okół stołu prezydującego i na galeryi zasiadły damy. Prof. Szyrma w mundurze gwardyi akademickiej zagaił posiedzenie, uczciwszy noc 29. listopada.

Ks. Pułaski odczytał patryotyczną przemowę na cześć entuzyazmu, z jakim naród przyjął i zachowuje pamięć wiekopomnej nocy.

Po wierszach Hunnickiego oklaskami nagrodzonych i po przemówieniu prof. Kunatta, zabrał głos prof. Hube, lecz mowa jego, krytycznie poryw patryotyzmu oceniająca, nie znalazła uznania. — Dopatrzono się w niej wpływu prelekcyj Gołuchowskiego, „owego filozofa w chłopskim stroju, odrabiającego pańszczyznę arystokratom, lekcye niebezpieczne dla narodowego entuzyazmu“. Wśród sykań i pogwizdów zakończył Hube swoje niezręczne wystąpienie.

Dały się słyszeć okrzyki: „W i w a t J e z i e r s k i, B a j k o w i N o w o s i l c o w!“

Poeta Magnuszewski wygłosił wiersz na cześć młodzieży akademickiej i w tej chwili właśnie gdy na scenie teatru narodowego grano jego tragedyę „G l i ń s k i“, otrzymał poklask zgromadzonych klubistów, za przypomnienie wersetów z Mickiewicza: „R a z e m m ł o d z i p r z y j a c i e l e“ i z ody bojowej Słowackiego.

Bruno Kiciński odczytał naśladowanie z m e s e n n i e n ó w francuskiego wieszcza.

Jeden z akademików przemówił na temat tyranii i wolności. Po nim popisywali się Stanisław Koźmian, Gaszyński i Franci-

szek Salezy Dmochowski. Część oratorską zakończył Fr. Grzymała okrzykiem: „Do broni!“, powtórzonym z zapałem przez obecnych.

Uproszono następnie damy o uświetnienie zebrania popisem wokalnym. Panie Bońkowska i Łabęcka śpiewały o 3. Maju i Cześć polskiej ziemi i wywołały udziałem swoim uwagę pism peryodycznych, iż „w teraźniejszej Polsce zdaje się spełniać owa myśl, powstająca dziś w Anglii i Ameryce, że kobiety mogą i powinny należeć do życia publicznego.“

We dwa dni później, zgodnie z zapowiedzią ks. Pułaskiego, święcił klub w kościele Karmelitów obchód pamiątkowy na cześć męczenników polskich.

Przed nabożeństwem obyw. Leon Ulrich i Marceli Pomaski oddali cześć nieszczęśliwym ofiarom: poczem zabrał głos Bruno Kiciński, a po nim miał wzniosłe kazanie ks. Pułaski. Adryan Krzyżanowski odczytał serdecznie odczutą mowę głosem cichym, przez obecnych mało usłyszanym, poczem Ksawery Bronikowski, osobiście wycierpiawszy długie lata więzienia, skreślił we wstrząsającym obrazie dzieje Bastylii warszawskiej. Kapitan Wieland energicznym głosem zakończył obrzęd kościelny.

Oddział szwadronu Braci zjednoczonych, który pod swoim dowódzcą pełnił honorową straż w świątyni, zdjął z katafalku i wyniósł trumnę do więzień. Przed bramą przemówił Franciszek Grzymała i w żywych barwach odtworzył obraz ofiar, które w tym przybytku cierpienia zgasły. Odmalował cierpienia Dobrogojskiego, co lat szereg mnogi przebywszy wśród wojen po różnych ziemiach, na obu półkulach, okryty bliznami i zaszczytnymi znaki, ozdobiony przez Napoleona przydomkiem mężnego, cierpiał w kajdanach za to, że już siwy jak gołąb marzył o niepodległości Ojczyzny. Przypomniał Sabińskiego, który zaledwie wyszedłszy z dzieciństwa, oddał się sprawie wolności i znalazł śmierć męczeńską, w więzieniu kończąc. Wskazał mowca na zawieszony portret siepacza Rożnieckiego, obrzucony klątwą obecnych.

Gdy wniesiono trumnę do sklepu, Józef Majzner uwolniony przez lud w dniu 30. listopada, w krótkiej, lecz rzewnej przemowie pożegnał i tę trumnę i owe straszne pamiątki. Dwa te ostatnie głosy podniosły entuzyazm zebranego tłumu. Na klęczkach wykonali mężczyźni i kobiety przysięgę poświęcenia się sprawie wolności.

Na uroczystości była obecną i młodzież poznańska.

Wieczorne tegoż dnia zebranie klubu poświęcone było wyłącznie ocenie działalności dziennikarza Gerarda Witowskiego (1787—1837), który jako Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia, naśladując francuskiego satyryka Jaisa, wydawcę pisma: *L'Ermite de Chaussée d'Antin*, również jak i on wyśmiewał systematycznie obyczaje i ludzi swej epoki. Należał on do składu redakcyi dawnego *Monitora* i *Gazety Warszawskiej*, urzędował zaś pod Szaniawskim. Zarzucono mu, że w swym *Pustelniku* potępił nie tylko wolność druku, lecz i sam wynalazek druku, jako szkodliwy i niepotrzebny. „Grecy i Rzymianie — twierdził Witowski — nie znali druku, a byli światłymi ludźmi. Ztąd — zdaniem jego — i dzisiejsza cywilizacya bez druku obejść się może“. Oskarżał przytem romantyków o dążność rewolucyjną w literaturze, co na romantyków ściągnęło podejrzenie, że stanowią sektę polityczną. Gdy zmarłemu Prezesowi Bielińskiemu wyprawiono pogrzeb narodowy, Witowski śmiał się z entuzyazmu młodzieży, gromił liberalistów a chwalił nabożnisiów. Był wrogiem rewolucyi, którą buntem mianował i podnosił znaczenie władzy silnej. Podczas pamiętnej nocy Listopadowej ukrył się przed ludźmi i dopiero piątego dnia wyjrzał na światło dzienne, a nawet przybył na posiedzenie klubu.

Po wygłoszeniu owej filipiki, ozwało się szemranie wśród obecnych, ktoś gorejącą świecę rzucił przez długość sali w kierunku, gdzie dostrzeżono Witowskiego. Unikając dalszych następstw oburzenia, wyniósł się Witowski z owego „gniazda Jakobinów“, jakiem nazwał klub patryotyczny.

IX.

Uczczenie Staszica. — Pochód na Bielany. — Ks. Korycki i Krępowiecki przypominają ustawę o cenzurze. — Wieści o wkroczeniu kozaków. — Proces *Nowej Polski*. — Sąd poprawczy uwalnia oskarżonych. — Tryumf *Nowej Polski*. — Przeciw Sejmowi z powodu Lelewela.

Z kolei klubiści postanowili uczcić na Bielanach grób wielkiego patryoty Staszica i w tym celu 3. lutego urządzili nabożeństwo w kościele OO. Kamedułów na Bielanach. Młodzież pieszo odprawiła pielgrzymkę do grobowca bielańskiego. Ksiądz Korycki i artylerzysta narodowy Krępowiecki, czcząc pamięć zasłużonego

męża, nie pominęli zarzutu, iż swego czasu podpisał ustawę o cenzurze. Zgromadzeni uczcili grobowiec skromny Staszica, wynurzywszy żal, że go trwalszym dotychczas nie uczczono pomnikiem.

Tegoż dnia, gdy nadeszła pierwsza wiadomość, iż kozacy przebyli Bug pod Łosośną i gdy wojska stolicy wyruszyły na spotkanie wkraczającej armii rossyjskiej, odbyła się w Sądzie poprawczym I. obwodu miasta Warszawy, sprawa przeciw organowi klubistów *Nowa Polska*, obwinionemu o obrazę Sejmu. Sąd poprawczy nie uznał istoty czynu w inkryminowanym artykule i zwolnił redaktorów od wszelkiej odpowiedzialności.

„Cześć obywatelstwu Sądu policyi poprawczej — pisała *Nowa Polska* w Nr. 34. — Cześć niepodległym urzędnikom. Sąd policyi poprawczej uszanował wolność druku, uczcił rewolucyę i okrył zasłużonem zawstydzeniem przeciwników wolnej, szlachetnej, Ojczyznę i rewolucyę tylko szanującej opozycyi".

Wysławiając zasługi prezesa klubu Lelewela, zwróciła *Nowa Polska* nowy kołczan zatruty przeciw Izbie poselskiej, iż męża tak zasłużonego n a j m n i e j s z o ś c i ą członkiem rządu obrała.

„Opinia publiczna — głosiła redakcya — wskazywała mu pierwsze miejsce, jako reprezentantowi najśmielszych wyobrażeń rewolucyjnych, jako twórcy tej strasznej chwili, z której się albo wielkość Polski, albo ostateczne wywiąże zatracenie. Rzec możemy: że bez tego rozmnożyciela i patrona rewolucyjnych w Polsce wyobrażeń, powstanie nasze do dalszego czasu byłoby odłożone. On pierwszy zwrócił na siebie uwagę wojskowej i cywilnej młodzieży. Ośmielił odważnych, pobudził nieśmiałych, zaszczepił ufność w sercu wątpiących. Z tego względu, jego nazwać by można autorem nocy 29. listopada. Weźmy w nasz rozmysł to, co zdziałał dla powszechnej oświaty polskiej, nie w gronie sejmującem, ale z mownicy profesorskiej, któż podniecał iskrę tlejącą w sercach polskiej młodzieży w Warszawie, Krzemieńcu i Wilnie? I kto te zarody ożywczem rozwijał tchnieniem przez pisma rzecz polską wyświecające?

„Lelewel jest niewątpliwie najpopularniejszą w Polsce osobą. Uważając zaś mechanizm nowego rządu i oceniając ową mniejszość kresek, tak zdaje się, jakoby Izba dlatego tylko obrała go członkiem rządu, aby nie rządził i nie posłował, gdyż jako członek tej najwyższej magistratury, na obrady sejmujących wpływać nie może; a jako piąty z porządku, w każdej równości głosów, w nieobecności prezesa i za każdem przybyciem wodza oddalać się musi. Przetoż działalność jego w kole sejmujących ustała,

a w administracyi jest podrzędna i ścieśniona. Dostał mu się najszczuplejszy ułamek władzy, mimo największej ufności, jaką wznieca ku sobie za obrębem Izb sejmowych“.

X.

Kwestya socyalna w klubie. — Włościanie a własność ziemska. — Krępowiecki przemawia za rewolucyą socyalną. — Nadanie włościanom ziemi. — Ostrowski przypomina wniosek Sołtyka. — Krzymuski w obronie obywateli ziemskich. — Projekt Dębińskiego wypuszczenia listów zastawnych za ziemie oddane włościanom. — Krzyżanowski przeciw projektowi. — Miklaszewski o sprzedaży soli. — Gurowski w obronie praw skarbu. — Projekt ogłoszenia emigrantów za zdrajców kraju.

Oprócz spraw polityki ogólnej, narodowej i sprawy natury socyalnej znalazły gorących rzeczników w łonie klubu patryotycznego.

Na pierwszem miejscu była sprawa włościańska, którą zapaleńsi klubiści pragnęli rozstrzygnąć, nadaniem włościanom ziemi na własność.

Tadeusz Krępowiecki dowodził, iż mylnem jest mniemanie tych, którzy twierdzą, że u nas nie ma powodów do r e w o l u c y i s o c y a l n e j, a jest jedynie p o w s t a n i e n a r o d o w e, skierowane do wyparcia nieprzyjaciela z dawnych dzielnic polskich. Przytoczył, jakie pobudki miała Francya do rewolucyi w końcu XVIII wieku i porównywał je z pobudkami powstania listopadowego. Uważał, że bez r e w o l u c y i powstanie nasze nie może być dosyć silne. Aby zaś rewolucya postępować mogła, niezbędnem sądził nadanie u nas w ł a s n o ś c i w ł o ś c i a n o m, dlatego, iżby tem dobrodziejstwem Ojczyzna silniej do sprawy swojej przywiązała masy, których działanie jest najpewniejszą nadzieją tryumfu naszego.

Nadmienił przytem, że Prusy tym sposobem pozyskały znaczną masę ludu własnością obdarzonego.

Józefat Ostrowski, popierając wniosek Krępowieckiego, wspomniał o ogłoszonym w pismach projekcie Romana Sołtyka, w sprawie zakupywania dla włościan naszych własności ziemskiej z funduszu składkowego na pomnik dla cesarza Aleksandra zebranego. Sam zaś radził rozdanie włościanom, którzy wzięli się do broni, własności dóbr rządowych.

Obyw. Krzymuski, krytykując mowców poprzednich, sądził, że nie należy wydzierać własności jednym, dla nadania jej drugim.

Krępowiecki wyjaśnił, że takiej myśli nie miał i oświadczył, że pragnie, by nadanie własności włościanom uskuteczniło się bez krzywdy osób trzecich.

Dębiński uważał, że wszyscy jednako są przeświadczeni o ważności sprawy uposażenia włościan własnością i o korzyściach, jakie ztąd spłyną na kraj, lecz najważniejszem zadaniem jest obmyślenie środka, przez który dzieło to bez pokrzywdzenia osób trzecich przeprowadzić by się dało.

Środkiem tym, zdaniem mowcy, byłoby wypuszczenie papierów publicznych, na wzór Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, któremiby wynagradzani byli właściciele gruntów włościanom nadanych. Papiery takie zabezpieczone na tychże samych gruntach i na podatku, jakiby na wszystkich mieszkańców rozłożonym być mógł, przynosiłyby ich posiadaczom procent pewny, a nadto z podatku wspomnianego i z czynszów przez włościan opłacanych, część pewna funduszu mogłaby być przeznaczona na umorzenie owych papierów.

Prof. Adryan Krzyżanowski odradzał projektowania tej sprawy rządowi, gdyż to mogłoby jeszcze zwiększyć liczbę przeciwników klubu patryotycznego. Nadmienił, iż miał sposobność przekonać się, iż Sejm obecny nie chce się tą sprawą zajmować, mianowicie dlatego, by nie oburzyć właścicieli ziemskich w prowincyach cesarstwa.

Mimo to, prezydujący ks. Pułaski wyznaczył komitet dla opracowania odpowiedniego w tej sprawie projektu i petycyi do Sejmu.

Walenty Miklaszewski podniósł głos w sprawie sprzedaży soli w kraju. Odwoływał się do dekretów króla pruskiego, który przeznaczał fundusz na zakup soli, z potrąceniem 5 procent dla skarbu, co czyniło sól tanią. Mówił, że w tej materyi ostrzegał ks. Lubeckiego, lecz bezskutecznie. Wnosił wkońcu, by klub podał petycyę do rządu w sprawie obniżenia ceny soli, ubytek zaś w dochodzie skarbu radził zastąpić przez podatek osobisty, lub przez zaciągnięcie pożyczki. Tym sposobem klasa włościan chętnie przystąpi do sprawy rewolucyi.

Obyw. Woliński poparł mowców poprzednich i sądził, że tą sprawą zająć się winni publicyści, lecz nie był za podaniem petycyi do Sejmu.

W tym duchu przemawiał i Gurowski z uwagi, że nie można czynić w obecnych okolicznościach uszczerbku skarbowi, że zresztą sam Sejm miał tę sprawę na uwadze przy układaniu budżetu, a jednak pozostawił do czasu dochody solne.

Prezydujący wyznaczył komitet do opracowania w tej materyi stosownego projektu.

Adam Gurowski wniósł projekt ogłoszenia za zdrajców tych, którzy emigrowali z kraju po powstaniu.

Grabowski radził pozostawić ów projekt rządowi, na co Gurowski oświadczył, że rząd będzie działać na zwłokę, klub zaś, reprezentujący opinię publiczną, sam to uskutecznić może.

Wyznaczono komitet dla ułożenia redakcyi owego ogłoszenia.

XI.

Posiedzenie klubu 4. lutego. — Wniosek utworzenia dziennika rządowego. — Mochnacki za jawnością działań rządu. — Objekcye Gurowskiego. — Lelewel w obronie jawności działań wewnętrznych. — Monita *Kuryerowi Warszawskiemu*. — Dmuszewski przyrzeka nadać pismu charakter rewolucyjny. — Saniewski przeciw republikanizmowi Kozłowskiego. — Zasada monarchiczno-konstytucyjna. — Psarski protestuje. — Głosy za Senatem. — Bronikowski za wojną partyzancką. — Projekty uczczenia Belwederczyków.

Na posiedzeniu klubu z dn. 4. lutego 1831 r. obyw. Kozłowski przedstawił wniosek, by rząd czynił działania swoje jawniejszemi przez ogłaszanie ich w dziennikach.

Józef Miklaszewski był za utworzeniem dziennika rządowego, którýby ogłaszał wiadomości pewne, lecz nie zgadzał się na pożytek z ujawniania publicznego zamiarów rządu.

Maurycy Mochnacki, zbijając poprzedniego mowcę, obstawał za zupełną jawnością działań rządowych. Niechaj rząd zdaje sprawę z działań swoich. Naród wiedzieć powinien, jak z nim chcą postępować. Sprawy rządu powinny być kontrolowane przez opinię publiczną.

Gurowski: „Nie mam nic więcej przydać do głosu obywatela Mochnackiego tylko to, że pominął wzgląd na działania dyplomatyczne. Stosunki rządu naszego z zagranicznemi mocarstwami

jawnymi być winny. Czas jest pozbyć się w tej mierze systematu rządów despotycznych, które z dyplomatyki robią tajemnice!"

Lelewel: "„Nieszczęściem dla narodów dyplomatyka tajną być zaczęła od czasu Tyberyusza i nie może do dawnej wrócić jawności. Stosunki nasze z mocarstwami są zbyt małe, a zatem dyplomatyka mniej ważnym u nas jest przedmiotem. Naszem przeznaczeniem jest działanie samych przez się. Co do jawności w sprawach wewnętrznych, mogę, jako członek rządu zapewnić, że zamiarem naszym jest wynurzać się w dzienniku rządowym z działań naszych, jednakże mnogie zatrudnienia nie pozwoliły dotąd jeszcze tego urzeczywistnić".

Na posiedzeniach lutowych następnych 5., 6., 7. i 8. między wieloma głosami uczyniono redaktorowi *Kuryera Warszawskiego*, Dmuszewskiemu zarzut, iż nie ogłosił wezwania do rękodzielników, aby wstępowali do klubu.

Dmuszewski przyrzekł, iż nada swemu *Kuryerowi* bardziej rewolucyjny charakter.

Obywatel Saniewski, przypomniawszy republikańskie dążności obywatela Kozłowskiego, wygłoszone na poprzedniem posiedzeniu klubu z aprobatą towarzystwa, oświadczył, że się to sprzeciwia uchwale sejmowej, która zasady rządu monarchiczno-konstytucyjnego za podstawę przyszłego rządu Polski obrała. Żądał przeto, by obyw. Kozłowski wykreślonym został z listy członków klubu.

Obyw. Psarski oświadczył, że uchwała sejmowa nie ma sankcyi prawa, gdyż Senat ją jako przedwczesną i wykraczającą za mandat dzisiejszych reprezentantów odrzucił.

Dały się słyszeć okrzyki: Niech żyje Senat!

Obyw. Kozłowski wniósł, by przyspieszono ukaranie szpiegów.

Janowski żądał powtórzenia petycyi o ustanowienie trybunału rewolucyjnego.

Ostrzykowski przypomniał działanie ludu francuskiego przeciw ministrom, tem więcej należy działać przeciw szpiegom.

Obyw. Bronikowski, wystawiwszy ważność wojny partyzanckiej, odczytał ustawę związku w tej sprawie się tworzącego. Oświadczył przytem, że choćby nawet rząd krajowy uznał potrzebę układów, to klub nie przestanie odwoływać się do siły orężnej.

Krępowiecki domagał się zaszczycenia sprawców nocy listopadowej oznaką honorową.

Sulimierski twierdził, że ważniejszą dla nich nagrodą byłoby ogłoszenie ich nazwisk w aktach sejmowych.

Artur Zawisza uczynił uwagę, że orderami rozporządzają tylko monarchowie, na cześć zaś Belwederczyków należałoby wybić medal pamiątkowy.

Prezes Lelewel zgodził się na utworzenie komitetu, któryby opracował projekt wybić się mającego medalu pamiątkowego.

Alexander Kraushar.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia domowego szlachty sandeckiej w epoce Wazów.

(Ciąg dalszy).

Pan Jordan, zamawiając ustawicznie u kupca piękny falendysz, karazyę angielską i sukna morawskie, częstokroć nie spieszył się z wypłatą. Dopiero później zaspokoił te długi, to też jeden ze spadkobierców Tymowskiego († 1631) dopisał na krawędzi księgi kupieckiej z pewną ironią: „Tandem aliquando... die 6. junii 1634 sat cito dat“.

W r. 1642, kiedy Nowy Sącz prawował się z Piotrem Rożnem z Mogilna, który ustawicznie rozszerzał miedze swoje i wrębywał się w lasy miejskie w Paszynie, zjechał pan Jordan na rozgraniczenie lasów miejskich od strony Mogilna. Uradowane miasto jego wyrokiem, ofiarowało mu pro honorario beczkę wina za 100 złp.

2. Zygmunt Stradomski z Roćmirowej, podstarosci sandecki (1625—1627). Od Stanisława i Bernarda, braci Czernych z Witowic, trzymał zastawem w 1.355 złp. folwark w Rożnowie (1609 do 1616). Jako szlachcic gospodarny i zapobiegliwy, posługiwał się swym wójtem, Mikołajem Radojewskim, który mu kupował (1608) różne sukna u Tymowskiego, mianowicie uterfin zielony po 44 gr. na ubranie, karazyę czerwoną lub lazurową, i sukno morawskie czerwone na kontusz i żupan, do tego sznurek błęki-

tny i haftki. Dla jejmości pani. Zofii z Jordanów Stradomskiej, brała panna służąca cieniutki falendysz lazurowy po 2 talary łokieć, sznurek i kir czerwony: także brunatnego 1½ łokcia po 2½ złp., dla syna pańskiego Jakóba

Na jarmarku w Lublinie 1611 r.. kupił mu Tymowski futro pod giermak za 14 złp. i dał falendyszu błękitnego. także karazyi żółtej 8 łokci po 20 gr.. i takiegoż kiru na żupan zimowy.

Od czasu do czasu zjeżdżał Stradomski na obrachunek z kupcem, przyczem wypijali wspólnie 2—3 garncy wina. Żonie i synowi przywoził pięknego falendyszku lub breklestu. a kilka postawów[1]) kiru dla czeladzi. Na jarmark posyłał kupcowi wełny jarzęcej kilka kamieni. za którą chętnie płacił sukiennik sandecki Wojciech Kardasz: prócz tego tatarki 20 wierteli po 15 gr. Jejmość zaś przez wójta beczkę soli i serów kopę z przyczynkiem za 3 złp. To też Tymowski nie wahał się borgować. choćby i na 130 złp.

Rad był Stradomski. kiedy mu wygodzono w potrzebie. ale też i sam lubiał wygodzić drugim. Nie mając jeszcze sam gotowych pieniędzy. a widząc potrzebę kupca. postarał się o nie u krewnego swego. Olbrachta Stradomskiego, który na jego słowo i ręce przysłał 27. marca 1611 Tymowskiemu 397 złp.. żądając zwrotu przed św. Janem Chrzcicielem w tym roku. Kupiec nie posiadał się z radości, bo był w potrzebie. to też nie żal mu było kupić dla jejmości pani Stradomskiej w Lublinie jedwabiu za 7 złp., a jegomości na jarmarku w Żmigrodzie kilka serów wołoskich po 22 gr.. które on z wielkim smakiem spożywał. Zato państwo Stradomscy mało kupowali korzeni; ledwie raz w rok ów wójt, Mikołaj Radojewski. wziął nieco szafranu, gałganu. cytwaru i cynamonu za kilka groszy — oto cały zbytek.

W r. 1615 przysłał w długu soli 2 beczki za 4 złp.: masła 2 faski po 4 złp.; mąki żytnej 10 korcy a jęczmiennej 4 korce; żyta za 20 złp., jęczmienia kilka wierteli po 15 gr. — wszystko przez pana Samuela Chwaliboga. Brał zaś falendysz obłoczysty po 80 gr. i falendysz zielony, 5 kwart wina starego do flaszki i półachtel piwa.

W r. 1616 jeździł Tymowski do Rożnowa na obrachunek z panem Stradomskim. Na św. Elżbietę obrachowali się ostatecznie. Tymowski wziął od jegomości pszenicy i żyta za 141 złp. 18 gr. Zapisując to do swej księgi rachunkowej. westchnął o bło-

[1]) Postaw sukna miał w sobie łokci 32.

gosławieństwo do nieba: „O Jezu! Ty moja najsłodsza nadziejo!“. sam bowiem zaciągnął dług 68 złp. u pana Stradomskiego, lecz nie na długo.

Posłał niebawem Stradomskiemu pakłaku, synowi Jakóbowi karazyi lazurowej, panu Janowi bratu małmazyi i sukna. a na Wielkanoc wina 6 garncy. uterfinu i baji, dla chłopca zaś żółtego kiru i guzików. Tym sposobem winien był Stradomskiemu tylko 6 złp.. a kiedy niedługo potem zażądano 5 łososi, to się już wyrównały rachunki i jeszcze nadwyżka pozostała. Wygodę więc wielką miał pan Stradomski, bo co tylko potrzeba było. czy szyb do okien i ołowiu na ich oprawę, papieru, żelaza, ryb, czy też kotlarza, bednarza. wszystko zgoła załatwiał Tymowski. Stąd też zażyłość wzrastała między nimi z dniem każdym, bo oba szczerą pracą dorabiali się mienia.

W r. 1617 Zygmunt Stradomski przewyższał już w dostatkach starostę grodowego. Sebastyana Lubomirskiego, któremu Tymowski nie chciał dalej borgować. Mógł też pan Zygmunt pożyczyć kupcowi 400 złp. Jejmość pani Zofia mogła sprawić chrzciny córce pani starościny, co kosztowało ogółem 30 złp. Wydatki mnożyły się wraz z dochodami. Na jarmarku w Żmigrodzie już pani Stradomska potrzebowała 200 złp. na materye tureckie przywiezione z Węgier. Pod płaszcz już kupowała kuny. a wierny sługa Janusz chodził w błękicie po 15 gr.. sam zaś pan wraz z synem w falendyszu obłoczystym po 80 gr. i w karazyi lazurowej śląskiej po 23 gr.. podszytej żółtym kirem: buty safianowe nosił. Zawsze płacił wełną, żytem i solą. Tak było i w r. 1619. Synowi kupił siodło za 2 złp. 15 gr. i szablę za 3 złp. Proch rusznicзy i ołów funtami kupował. Dał też do schowania Tymowskiemu 200 złp.. z których za pisaniem odebrał pan Tabaszowski 100 złp., a drugie 100 syn pański. Jakób Stradomski.

W r. 1620 wydzierżawił Stradomski Zabełcze pod Nowym Sączem u pana podstolego, Jana Dobka z Łowczowa. Tymowskiemu na wino pożyczył 400 złp., połowę w dukatach, połowę w trojakach.[1]) zwrotu zaś żądał w ortach czeskich. Pani Stradomska na swoją kuchnię wzięła beczkę wina za 34 złp.

W spółce z Tymowskim kupuje 1621 r. sukien za 1.176 złp. u Piotra Walentyna w Miedzyrzeczu. mianowicie morawskich czerwonych postawów 20. zielonych 7, żółtych 2, goździkowych 3. błękitny 1, miesi 1. Z tych sukien sam pan Stradomski wziął

[1]) Trojak (ternarius). srebrna moneta = 3 groszom.

4 postawy czerwone a zielonych 2, które dał Węgrzynowi, bo wchodził z Tymowskim w spółkę kupi winnej, do której dał zaraz 200 złp.

Ciężki morowy rok 1622 przycisnął widocznie Stradomskiego, skoro pożyczył u Tymowskiego 256 złp. i dał w zastaw miednicę srebrną pozłacaną, konew srebrną garncową i parę roztruchanów. Zastawił także w 100 złp. u pana Krzysztofa Wielogłowskiego łańcuch złoty, ważący 50 czerwonych złotych i to nie swój, ale pani Pieniążkowej, lecz tego samego roku zaspokoił swe długi.

Zabełcze snadź nie tak mu popłacało, jak Rożnów, bo 1624 r. już nie pszenicą i żytem, lecz owsem płacił, którego za 100 złp. dał 125 wierteli. W roku następnym wszedł w powtórną spółkę kupiecką z Tymowskim, dając gotówki 500 złp., a jego spólnik 600 złp. Piotr Walentyn z Międzyrzecza odstawił im do Krakowa morawskich sukien 34 postawy, skąd na furach odwożono je do Nowego Sącza. Pan Stradomski swoimi postawami płacił natychmiast Węgrzynowi z Preszowa za wino.

3. Sebastyan Gładysz z Szymbarku, podstarości sandecki (1613—1617), musiał być zamożnym, skoro żona jego Zofia w koronkach chodziła i złotem za nie płaciła (1609 r.): nawiasem jednak nadmienić należy, że oba czerwone złote, za towar przysłane, były nieco obcięte i po 8 gr. nie doważały. Falendyszek brunatny brała po 80 gr., a karazyę lazurową po 23 gr.

W r. 1614 kupczył pan podstarości w Lublinie, gdzie dopożyczył od Tymowskiego 6 złp., a potem sprzedał mu 4 beczki śledzi po 13 złp. Pani zaś sama brała w sklepie dla sług na ubranie karazyę lazurową po 24 gr., na kurty 15 łokci czarnego morawskiego przedniego po 16 gr., i kiru brzeskiego czerwonego na podszewkę. Kupowała też dla synów swoich karazyę lazurową przed Wielkanocą. Prócz tego 17 łokci czerwonego sukna po 13 gr., szarego 4 i sznurków 13 łokci po szelągu. Z korzeni brała tylko szafran łutami.

Obrotny Tymowski, widząc zysk i pokup win, umówił się z Andrzejem Jordanem ze Strug, i podwodą doświadczonego sołtysa z Muszyny ruszyli na Węgry 1615 r. Tu w Torysie kupili wspólnie u Peregryna Istwana 24 beczki po 100 talarów węgierskich. Otrzymali od niego fury i przewodnika Węgrzyna, dobrze dróg świadomego, a same fury kosztowały do Nowego Sącza 96 złp., t. j. po 4 złp. od beczki. Jechali na Koszyce, Drynów, Preszów, Sobinów, Nowąwieś i Petrowianiec. Wozów z winem doglądał wierny zięć Tymowskiego, Stanisław Mączka, ani na krok nie

odstępując od nich. Wydatki w drodze, oprócz wszelkich opłat i myt. wynosiły 17 złp., razem więc 113 złp., czyli prawie 5 złp. na beczce. Wino złożono w piwnicy pana Jędrzeja Jordana, pocierano starannie beczki i podolewano, a skoro się trochę podstało, upuszczono naprzód 3 kwarty i posłano do 3 głównych kościołów w obrębie murów miejskich warownych: do kollegiaty, Franciszkanów i Norbertanów.

Pan Gładysz, który pożyczył był Tymowskiemu na to kupno 400 złp., tak bardzo zetknięty z temi winami, raczył osobą swą godną zaszczycić dom Tymowskiego, gdzie przy pogadance o tem i owem wypito wraz z sąsiadami 3 garnce wina. Opowiadał też głośno przed bracią szlachtą o dobroci wina i przysłał 13. września po półgarnca na okaz. Wielmożny Jan Pieniążek z Krużlowej i Simbar, brat starosty grodowego, Sebast. Lubomirskiego, uznali dobre jego własności i udali się do Tymowskiego wraz z panem podstarościm i zapewne jeszcze z kim więcej, bo przecie dla trzech nie wyniesionoby 5 garncy tego wina. W najbliższy czwartek po 13. września zażądał pan podstarości $2^1/_2$, a w następny czwartek dla pana Stan. Chrzanowskiego $2^1/_2$, a w trzeci czwartek dla siebie garniec tego wina. Pożyczone pieniądze wybierał później potrosze. Za 94 złp. kazał sobie kupić złoty łańcuch, żona czapkę za 16 złp. i kobierzec za 13 złp., przez pannę zaś służącą wybierała po kilkanaście i kilkadziesiąt złotych.

Pomimo tak znacznej pożyczki udzielonej poprzednio Tymowskiemu, nie miał przecie pan Gładysz kredytu u niego, kiedy zaraz następnego roku za marnych 20 kilka złotych nie chciał mu zborgować sukna, aż zań zaręczył Krzysztof Janosz, złotnik sandecki. Widocznie kupiec przyszedł do przekonania, że jaki pan starosta, taki i podstarości jego. Bo właśnie niedługo przedtem i staroście wypowiedział kupiecką wiarę. Pani podstarościnie jeszcze cokolwiek ufał i borgował sukna błękitnego kilkanaście łokci i uterfinu zielonego angielskiego. I nie zawiódł się w oczekiwaniu swojem, bo pan Gładysz obrachował się i zapłacił. Dla pewności zaś podpisał się własnoręcznie w księdze Tymowskiego, bo go nie zastał w domu.

Odtąd jednak różne niepowodzenia sypały się, jak z rogu obfitości, na dom państwa Gładyszów. W r. 1618 zastawili w 30 złp. złoty łańcuch, ważący 49 czerwonych złotych, według oszacowania złotnika, Stan. Janosza. Dopożyczyli nań jeszcze 50 złr. i urósł ten dług do 124 złp. W r. 1622 dali znów w zastaw 2 łyżki srebrne z herbem Gryf i literami S. G., które pani Zofia

wykupiła po morowem powietrzu. Później znów 1624 r. przycisnęła ją bieda, bo w nagłej potrzebie musiała w 40 złp. zastawić 8 łyżek srebrnych.

4. Krzysztof z Wielogłów Wielogłowski podstarości sandecki (1618—1624 i ponownie 1628—1638), współdziedzic Klęczan, człowiek stateczny a zapobiegliwy, jak zwykle podstarostowie, chodził w dobrym falendyszku lazurowym po 80 gr. łokieć, o czerwonej kirowej podszewce; ale brał też i sukno kłockie po 12 gr. Lubiał także swoich przyjaciół wspomagać w potrzebie. I tak krewnemu swemu, Jędrzejowi Wielogłowskiemu z Trzetrzewiny, kazał dać przedniego kiru po 12 gr., Czerneckiej 19 łokci karazyi, a Wiktorowi czarnego kiru 12 łokci po 13 gr. Robił mu krawiec Gąska, a potem Marcin Ziółko, a szyli jedwabiem kręconym.

W r. 1615 brał falendyszek lazurowy po $2^1/_2$ złp. i kir zielony; prócz tego ryby, rodzynki wielkie, pieprz i oliwę funtami. Najczęściej posyłał sługę starszego lub młodszego, a po sukno krawca.

W r. 1618 kupował falendyszek czarny po $2^1/_2$ złp., ale tylko $1^1/_2$ łokcia, za to kiru czarnego aż 4 postawy, po 6 złp. postaw tylko bez orta. Kazał znowu dać jakiemuś krewnemu: morawskiego czarnego po 14 gr. Widać, że ciężką żałobę przywdziała rodzina Wielogłowskich, bo oznaką jej był kir czarny.

W r. 1623 wypożyczał pieniędzy na lichwę. Zygmunt Stradomski w 100 złp. zastawił u niego łańcuch złoty pani Pieniążkowej, wartości 50 czerwonych złotych. Za przykładem Stradomskiego i inna szlachta, nie zważając na uchwały sejmowe o wadze i łokciu, imała się kupi. Andrzej Jordan ze Strug wszedł w spółkę win węgierskich z Tymowskim. Krzysztof Wielogłowski, słysząc o dobroci zakupionych win przez obu spólników, chciał sam popróbować szczęścia. Przyłączył się również do spółki, ale z początku bardzo ostrożnie, bo naprzód kupił od Tymowskiego tylko 2 beczki po 75 złp., i to zborgował; dał też na spółkę kupi sukiennej 100 złp. W rok potem wziął już 4 beczki wina dobrego po 118 złp. Złotych 200 dał zaraz, a 272 „obiecał cnotliwem słowem oddać na blisko przyszłe Try Krole“. Wino brał znowu beczkami, a „na bezrok“ był jeszcze winien 276 złp., które obiecał oddać, jak najprędzej.

Jako podstarości sandecki, brał udział w ustawie rzeczy strawnych i robót rzemieślniczych w Nowym Sączu 1630 r., wraz z bratem swoim Marcinem Wielogłowskim, podwojewodzym san-

deckim, Tobiaszem Jaklińskim, burgrabią zamkowym, i Stanisławem Ujejskim, pisarzem grodzkim. Ustawa ta jednak, przykazująca urzędowy wymiar naczyń szynkownych, obok zniżenia cen gorzałek i piwa, nie podobała się miastu i wywołała wielką wrzawę pomiędzy pospólstwem. Zaprotestowano przeciwko temu bezzwłocznie w grodzie sandeckim; posypały się skargi do Jana Tęczyńskiego, wojewody krakowskiego; a nawet wytoczono sprawę w trybunale lubelskim przeciwko podwojewodzemu, który ostatecznie pogodził się z miastem, widząc wielkie rozgoryczenie mieszczaństwa ku szlachcie.

ROZDZIAŁ III.

Borgowanie [1]) i zastawy. [2])

1. Piotr Biernacki, syn Franciszka i Jadwigi z Wielogłowskich, po której dostał część Dąbrowy i Łęgu, odprzedaną póżniej Wespazyanowi Schlichtingowi, zagorzałemu Aryaninowi i głośnemu sojusznikowi [3]) króla szwedzkiego, Karola Gustawa, w czasie jego najazdu na Polskę. Jako niezamożny szlachcic, szukał niekiedy pomocy u krewnych swoich, nie obfitujących w dostatki. W r. 1618 Andrzej Wielogłowski z Trzetrzewiny ręczył za niego, lecz Tymowski nie bardzo ufał, więc pan Andrzej musiał w 12 złp. zastawić 12 talerzy i 12 półmisków cynowych, a nawet płaszczyk tabinowy swej żony. W rok póżniej pani Biernacka, kupując dla siebie 5 łokci falendyszu zielonego po 3 złp., zastawiła czamarę zieloną, futrem podszytą. Snadź do zimy nie zapłaciła

[1]) Borg, borgowanie (od niem. Borg, Borgen) kupno na kredyt — trąci oczywiście germanizmem, i może razić delikatne ucho czytelnika polskiego. Zatrzymałem jednak to słowo dlatego, bo ówczesni kupcy polscy stykali się nieraz w interesach handlowych z Niemcami na Węgrzech, Spiżu i w Prusiech zachodnich, zwłaszcza w Gdańsku, Toruniu i Malborgu, i od nich przyswoili sobie ten wyraz, jak wiele innych.

[2]) Już w Przedmowie zaznaczyłem, że szlachta borgowała u kupca różne towary, zwłaszcza sukna, lub w braku dostatecznego z swej strony kredytu, zastawiała u niego kosztowności swoje. W tym rozdziale zestawiam szereg tego rodzaju wypadków.

[3]) Więcej szczegółów o nim zob. niżej w rozdziale VIII.

długu, skoro zniewoloną była czamarę zamienić za płaszczyk, który w zastaw oddała.

Podobnie w następnych latach nie miał pan Biernacki kredytu u kupca. W r. 1621, borgując 3½ łokcia sukna morawskiego białego po 28 gr., dał w zastaw kitajkę czerwoną od pościeli! Później znów za czarne sukno po 20 kilka groszy, zastawił cyny 49 funtów mianowicie talerzy 12, mis 4 i nalewkę, a kiedy potrzebował koniecznie owych naczyń stołowych, odebrał je napowrót, dając wzamian delię swą szlamami podszytą.

W r. 1625, kupując drogi falendyszek po 3½ złp., zastawił pierścień z białym dyamentem; niedługo potem przysłał sługę swego po kir i w 2 złp. zastawił karabin! W końcu przez pana Wierzbiętę, sąsiada swego, sprowadzając sukno błękitne po 34 gr., dał w zastaw swą ulubioną siekierkę,[1]) która musiała mieć niepospolitą wartość, skoro ją kupiec bez trudności przyjął, a on sam później wykupił.

2. Jan Dobek z Łowczowa, podstoli krakowski (1618—1628), pan na Dąbrowie, Zabełczu i Wielopolu, poseł Zygmunta III. do Turcyi, Szwecyi i Moskwy. Wspominają o nim konstytucye sejmowe z r. 1606 i 1613, tudzież dziennik wyjazdu na pospolite ruszenie, przeciw Turkom pod Chocimem 1621.[2]) Pierwszą jego żoną była Barbara z Wielogłowskich († 1610), druga Zofia z Marcinkowskich, wdowa po Piotrze Pęgowskim. Od roku 1608 mieszkał zwykle w Dąbrowie nad Dunajcem pod Nowym Sączem, bo w tym przynajmniej czasie pierwsza o nim zachodzi wzmianka w księdze kupieckiej Tymowskiego. Sługa jego, przyszedłszy z listem, brał potrosze korzenia: pieprzu, stokłoski, goździków, szafranu, kwiatu muszkatowego, rodzynków, migdałów i cukru. Na św. Jan sama jejmość pani zjawiła się w sklepie, nakupiła baji czerwonej, sukna błękitnego, nici i haftek, wszystkiego razem za 29 złp.

W r. 1610 borgował pan Dobek falendyszek brunatny po 2½ złp., sukno morawskie zielone po 14, bernadyńskie i szare po 13 gr. Dał na to czerwony złoty, a na resztę zastawił pierścień złoty z dyamentem.

---

[1]) Był to właściwie czekan, który służył za broń i laskę zarazem. Rękojęść tej laski stanowił obuch, czyli młot, z przeciwnego zaś końca był długi, ostry i szpiczasty grot, czyli tak zwany nadziak.

[2]) Grabowski, Starożytn. hist. pol. T. I. 148—151.

W r. 1613 przysłał w długu: tatarki 30 wierteli po 15 gr., w mierze ubyło jej 4 wiertele, a Tymowski musiał ją sprzedać po 11 gr. Żyta 15 wierteli po 24 gr., ubyło go 2 wiertele, a sprzedano je po 17 gr. Wziął to zboże kupiec w długu 43 złp.; pan Dobek dopłacił jeszcze 3 złp. I później również przy obrachunku zachodziła sprzeczka o kilkanaście groszy, których szlachetny dłużnik nie chciał przyznać kupcowi.

W r. 1620 dał znowu żyta 6, pszenicy 4 wiertele po 3½ złp. Zacharyaszowi Gutsmittlowi w Kezmarku winien był talarów węgierskich 42, które miał oddać Tymowskiemu. W tym czasie jeździł na Węgry, dlatego zaopatrzył się w dostateczną ilość prochu, bo bez broni i prochu nikt nie śmiał podówczas puszczać się w góry karpackie, z obawy przed opryszkami. Za sukno winien był kupcowi 18 złp. Zastawił więc 2 łyżki srebrne z herbem Podkowa, i 2 czarki srebrne z herbem Gryf.

W czasie wojny z Turkami wyprawił się z pospolitem ruszeniem na Ruś, jako generalny porucznik i sędzia województwa krakowskiego, lecz dotarł zaledwie pod Jaworów 10. października 1621, kiedy właśnie regimentarz generalny, Stanisław Lubomirski, złamał pod Chocimem ottomańską potęgę Osmana II. Wśród tej wojennej wyprawy, sfrasowana pani Zofia Dobkowa, rozstała się z tym światem. Potrzeba było kiru żałobnego, lecz zrażony kupiec dawniejszymi długami, nie chciał dać więcej! Dlatego pan brat, Nikodem Dobek, rad nie rad, przysłał w zastaw tkankę perłową i wzięto 4 postawy kiru czarnego. Pan podstoli, powróciwszy z drogi na Wszystkich Świętych, zamówił nabożeństwo żałobne za duszę małżonki, a za listem jego wydał Tymowski na ucztę pogrzebową rodzynków wielkich 3 funty, małych 2 i imbieru funt, przez wójta z Dąbrowy.

W rok po szczęśliwym powrocie z wyprawy chocimskiej (1622), zbudował przy kościele Franciszkanów w Nowym Sączu osobną kaplicę św. Bernardyna, w której mieściły się podziemne groby rodziny Dobków, a na jej utrzymanie, tudzież na msze św. za dusze fundatorów, wyznaczył popłatę roczną 60 złp. od kapitału 1.000 złp., legowanego na dobrach swoich Zabełczu i Wielopolu.[1]) Napisy grobowe Jana Dobka († 1628) i drugiej jego żony Zofii († 1621), wyryte w marmurze, przechowały się dotąd w zabudowaniach pofranciszkańskich (dziś ewangelickich w Nowym Sączu), lecz już znacznie uszkodzone, podobnie jak sam po-

---

[1]) Act. Castr. Sandec. T. 39, p. 1890.

mnik Dobka, przedstawiający leżącego rycerza w zbroi, z herbem Gryf i hełmem.

3. Gabryel Gładysz z Jazowska. Nad niego nie miał już Tymowski gorszego płatnika, bo nie wymazany dług świadczy, że do dziś dnia jeszcze nie zapłacony. A brał sukna i korzeni niemało. W r. 1607 chodził w falendyszu brunatnym po 80 gr., dla czeladzi brał szarego 16 łokci po 13 gr. Borgował też na ubranie uterfin zielony po 52 gr., karazyę lazurową i błękitną, z kirem czerwonym lub żółtym: na dołoman karazyę zieloną, a na podszewkę baję czerwoną. Do tego haftki tuzinami, sznurka 30 łokci, guzików 3 tuziny, pętlic 18 par za 3½ złp. Wreszcie z korzeni brał pieprz funtami po 18 gr., szafran łutami po 26 gr., kwiat muszkatowy i imbier. Zapłacił za to jęczmieniem i żytem zaledwie 14 złp., a reszty pozostał dłużnikiem.

Natomiast prawdziwą pociechę sprawiał kupcowi ks. Jan Gładysz, pleban grybowski. Żył on w wielkiej przyjaźni z Tymowskim, bo miał do niego szczególne zaufanie. W r. 1610 dał mu do przechowania 380 złp., w rok później znowu 50 złp., wreszcie zaokrąglił tę sumę do 500 złp. W razie potrzeby wybierał potrosze gotówką lub towarami korzennymi, których spotrzebował za 23 złp. W r. 1614 kupował sobie na żupan falendysz czarny po 2 złp. 5 gr. łokieć, i czarne sukno morawskie na płaszcz, chłopcu zaś służącemu karazyi lazurowej i zielonej, prócz rozmaitych korzeni dla domu za 20 złp. Na jarmark do Sącza chętnie przyjeżdżał i stawał zwykle gospodą u kupca, Stanisława Pelki. Przy tej sposobności posyłał do Tymowskiego po garniec wina za 32 gr., które z nim wspólnie wypijał przy pogadance wśród grona przyjaciół. Płacił czerwonymi złotymi, bo przestrzegał pilnie obyczajów szlacheckich.

4. Wodzisław Jordan z Gołąbkowic. W r. 1615 brał 8 łokci falendyszu w wełnie farbowanego po 80 gr., a dla syna Jana karazyę czerwoną po 24 gr. Tak drogi falendyszek lazurowy brał na ubranie i w późniejszych latach. Zato w r. 1626 brał tańsze sukna czerwone i białe po 28—30 gr.: dał w zastaw 2 czerwone złote.

W r. 1629 pani Jordanowa przysłała swą mamkę po 5½ łokcia białego sukna po złotemu, przyczem zastawiła łyżkę srebrną. Sama zaś pani, biorąc dla woźnicy sukna czerwonego 6½ łokcia po 32 gr. i białego łokieć, dała w zastaw „złoto do noszenia piórek“.

W r. 1630 w 9 złotych za sukno czerwone zastawiła szablę starą srebrem okutą. Później jednak przyszedł stary Błażej, dawny jej sługa, odebrał szablę, a natomiast zastawił pierścień z rubinkiem. Owa stara szabla mogła być cenną spuścizną po przodkach, zwłaszcza po Spytku Wawrzyńcu z Zakliczyna Jordanie, rotmistrzu Stefana Batorego.

Nakoniec w r. 1633 za postaw sukna morawskiego czarnego w 33 złp., zastawiła „do krótkiego czasu“ rządzik na rzemieniu. Smutne musiały być dla niej czasy, kiedy za żałobne sukno zastawiała mężowski oręż i rządzik na konie.

5. Sebastyan Kempanowski w Zagorzynie. W r. 1610 za karazyę czerwoną i zieloną po 22 gr. zastawił sygnet złoty.

W r. 1613 sługa pana Kempanowskiego wziął postaw kiru czarnego trzyzyglowego za $8^1/_2$ złp., karazyi i kiru żółtego 3 łokcie. Dał w zastaw łańcuszek.

W r. 1614 przez pachołka swego borgując pakłak kłocki po 12 gr., zastawił pierścień złoty do czwartku tylko.

W r. 1618 za postaw kiru czarnego sługa jegomości zastawia znów na czas krótki sygnet, ważący 5 czerwonych złotych. Tegoż roku sprawiał świetne szaty: dołoman lazurowy podbity bają, a kontusz zielony kirem żółtym podszyty. Zastawił zato kubek srebrny z wierzchem i pierścień złoty, ale nie ów znany sygnet pański.

Wojciech Kempanowski. W r. 1623 nabrał sukna za 22 złp. Dał w zastaw 4 czerwone złote: 3 kruczki, jeden z nich arabski: 3 talary stare i sygnet złoty. Tegoż samego dnia, wróciwszy do sklepu, wziął białego sukna za $7^1/_2$ złp., a zastawił obrączkę srebrną, w której było ogniwek 95.

W r. 1633 w 14 złp. za sukno lazurowe zastawił łamane srebro do św. Trójcy najdalej. W r. 1635 sama jejmość pani w 3 złp. za kir zastawiła koronkę.

6. Stanisław z Lubomierza na Wiśniczu Lubomirski, starosta grodowy sandecki (1597—1613), następnie sandomierski i spiski, późniejszy bohater pod Chocimem 1621, wojewoda ruski (1625—1638), w końcu magnat rozlicznych włości i wojewoda krakowski (1638—1649). W pierwszym i drugim dziesiątku XVII. wieku był jeszcze wcale niezamożnym szlachcicem, skoro nie [illegible] dzierżawił Siedlce, Słowikową, Strzeszyce, Łącko i inne dobra

starosandeckich Klarysek.[1]) lecz także borgował różne towary u Jerzego Tymowskiego.

W latach 1605—1608 przesiadywał najchętniej w Siedlcach, gdzie odwiedzała go niejednokrotnie matka, Anna z Branickich Lubomirska, kasztelanowa wojnicka. W tym czasie brał dla siebie i gości w małych ilościach rodzynki, migdały, oliwę, pieprz, szafran, cukier, śledzie i ryż. Chodził w karazyi lazurowej po 23 gr., a kirem czerwonym lub białym po 8 gr. łokieć kazał podszywać swą kurtę, jak również kurty sług swoich. Sługował mu Lubicki ze Spiża, a żyd Guldek był mu walną pomocą w załatwianiu interesów sklepowych. Nie płacił jednak gotówką, lecz na dług dawał jęczmienia 30 wierteli po 13 gr.

Tak samo w r. 1610 żyd Guldek, pani Nieborska i Jan Szalowski, włodarz w Stadłach, biorą oliwę, pieprz, szafran, rodzynki; krawiec Gąska na żupan panu staroście sukno morawskie czerwone, czarne i białe po 12—14 gr., lub karazyę po 23 gr., a na podszewkę zawsze kir czerwony lub lazurowy po 8 gr. łokieć. Kupiec zapisywał wszystko w dyaryuszu swoim na imię pana Stan. Lubomirskiego, którego dług wynosił już 43 złp. 15 gr., za 29 łokci sukna luńskiego czerwonego po 45 gr., i za postaw kiru błękitnego 7 złp.

W r. 1611 inny już żyd, Wulf z Wiśnicza, był znów prawą ręką starosty. Brał on na rachunek pański falendysz lazurowy w wełnie farbowany po 80 gr.; dla sług morawskiego błękitnego 45 łokci po 15 gr.; dla Stanisława Ługowskiego, skrzypka starosty, falendysz brunatny po 80 gr. i kir brzeski po 10 gr. łokieć; całymi zaś postawami karazyę lazurową i czerwoną, a po roku dał na to zaledwie 3 czerwone złote, czyli 7 złp. Zakłopotany tem Jerzy Tymowski, wpisał pana starostę w rejestr starych dłużników i zanotował nad rachunkiem jego z humorem kupieckim, choć nie bez żalu: „Starzy dłużnicy, jakoby ze starych snopów gorzałka". — „O Jezu mój najdroższy! nadziejo smutnej duszy".

Stanisław Lubomirski poślubił 1613 r. Zofię, córkę księcia Aleksandra Ostrogskiego, hrabiego na Tarnowie, wojewody wołyńskiego. W listopadzie tego roku odstąpił starostwo grodowe

---

[1]) Już poprzednio Sebastyan Lubomirski, starosta sandecki (1590—1597), kasztelan wojnicki (+ 1613), trzymał w dzierżawie całe klucze klasztornych dóbr. Podobnie arendował je syn jego, Stanisław Lubomirski, aż do r. 1629. Zob. Arendy Klasztoru Starosandeckiego w XVI. i XVII. wieku.

sandeckie, wraz z zamkiem w Nowym Sączu i przynależnemi do tegoż starostwa dobrami królewskiemi, bratu swemu stryjecznemu, Sebastyanowi Lubomirskiemu,[1]) który też w następnych latach (1613—1627) był wiernym naśladowcą w borgowaniu poprzednika swego, a nawet o wiele go przewyższył.

W r. 1619 porachował Tymowski pojedyncze długi sklepowe nowego starosty i z bólem serca zawołał: „Wszystko dotąd uczyni 82 złp. 15 gr.“ Nie dziw przeto, że w r. 1623 już nie chciał kupiec dalej borgować. Więc pani starościna, Elżbieta z Drohojowskich Lubomirska, rada nie rada, musiała dać zastaw. Użyła jednak do tego pani Zofii Wierzbięciny i w 5 złp. za sukno czerwone zastawiła kubek srebrny złocisty. Rozbrojony tem kupiec, zborgował jeszcze 14 łokci szarego sukna po 25 gr.

W r. 1624 znowu zborgował jej karazyi papużej i kiru, lecz więcej już nie zdołała wymódz na kupcu nawet panna Sawicka, służąca starościny; to też za falendysz czerwony i postaw karazyi zielonej w 39½ złp. musiała zastawić konewkę srebrną pozłocistą.

Następnego roku służący pani starościny posłany po kir, dał w zastaw widelce srebrne. W tymże roku wzięła pani starościna kiru za 3 złp. 15 gr., przyczem odebrała od kupca zastawione widelce srebrne, lecz koneweczkę srebrną dała na to miejsce. Pani Wierzbięcina znowu zastawiła ów kubek srebrny, więc panna służąca zborgowała dla pani starościny postaw karazyi śląskiej za 32 złp., kiru i karazyi lazurowej za 6 złp. Brali też inni słudzy: kir, karazyę, ołowiu kamień,[2]) soli beczkę, a w końcu sama starościna sukna morawskiego czerwonego na tłumok 12 łokci po 12 gr. Tym sposobem uzbierało się długu 142 złp. Martwiło to niezmiernie kupca, to też kiedy 1626 r. pani starościna zażądała znów 12 łokci sukna czerwonego po złotemu, Tymowski w żaden sposób nie chciał już nic dać, więc nieboga składała się i przysięgała, że „zapłaci duszą męża swego i samą swoją“. A musiała się upokorzyć, bo właśnie były rękowiny córki jej Zofii, która szła za pana Krzysztofa Rarowskiego, rota zaś husarska wojewody ruskiego, Stan. Lubomirskiego, stała w mieście i asystowała uroczystości weselnej.

Ale i ów zięć starosty, pan Rarowski nie był lepszym płatnikiem, bo zaraz na weselu swem nabrał u Tymowskiego wina

---

[1]) Act. Castr. Sandec. T. 33, p. 2173—2176.

[2]) Kamień dawna waga polska = 32 funtom.

40 garncy po grzywnie (po 48 gr.) i nie zapłacił, a wkrótce potem, biorąc breklest lazurowy, musiał w 7 złp. zastawić kubek srebrny.

7. Kasper Łapka z Białejwody, którą zamienił był 1571 r. z Jordanem Spytkiem za Wolicę w Krakowskiem, ubierał się w falendyszek brunatny po 3 złp. 6 gr. łokieć, ale nie od razu za towar wypłacał, jak wielu innych. W r. 1609, kupując dla siebie falendysz po 3 złp., a dla sługi sukno kłockie czerwone po 11 gr., dał na dług śliw wierteli 6 po 36 gr., faskę masła za 4 złp., i pod dość pięknym podpisem swego nazwiska zanotował w księdze kupieckiej Tymowskiego: „znowum złoty wynyen". Kazał jeszcze słudze dać karazyi 3 łokcie, a wkrótce potem, płacąc w kwietni tydzień, zaznaczył pismem drobniejszem: „ten dług juzem zapłacił". W kilka miesięcy znowu dopisał wcale płynnie i wyraźnie. „Po swyethym filipye jakubye porahowalysmy syę s panem yorkiem — zostałem mu złothych seszcz y grosy dwadzyesczya po wsytkyem rahunku. Kasper łapka m. p." Podpisując się, nigdy nie pisał inaczej. Zdaje się, że niedługo potem życie zakończył, bo niema dalszej wzmianki o nim, a kupiec wyrysował przy jego rachunku grobowy krzyż.

Jan Łapka z Moszczenicy w r. 1610 winien za $6^1/_2$ łokcia kiru czarnego trzyzyglowego po 10 gr., daje w zastaw pas cętkowy na rzemieniu, w którym było cętków 23 z zamkiem. Brał też na ubranie uterfin ciemno zielony po 44 gr., a dla sług sukno szare. Za czerwone sukno dał w zastaw czerwony złoty.

8. Adam Rożen, podsędek ziemi krakowskiej, syn Jakóba sędziego grodzkiego sandeckiego, dziedzicząc małą wioskę Łękę, nie mógł zapomnieć o sławnym średniowiecznym rycerzu, Sulisławie Rożnie, w zameczku Gródku nad Dunajcem (1384 r.), i idąc w ślady walecznych swych przodków, z orężem w ręku dzielnie stawał pod królem Stefanem Batorym, to przeciwko Moskwie, to na Multanach turecką wyrywając chorągiew. Miał też poważanie u szlachty, zasiadał na kapturach [1]) w czasie bezkrólewia po zgonie Stefana Batorego, posłował na sejm i komisarzował w kole rycerskiem, a w końcu, jako podsędek, rozstrzygał

[1]) Kaptur, czyli sądy kapturowe — jurysdykcya czasowa, sądząca w czasie bezkrólewia [illegible] kryminalne i wykroczenia przeciwko spokojności i bezpieczeństwu publicznemu. Sądy kapturowe zaprowadzono po raz pierwszy w r. 1572, zniesiono je w r. 1768.

szlacheckie sprawy na kwerelach (terminach sądowych) grodzkich sandeckich.

Żył dwornie i hojnie, a sługowali mu: Czapliński, Krynick i Ścibor,[1]) Węgrzyn. Zaraz na wstępie 1609 r. pożyczył u żony Tymowskiego 100 złp. Wkrótce potem 20 złp. przez Czaplińskiego, i znów drugie tyle sam. Prócz tego postaw karazyi czerwonej, postaw żółtej, w końcu znowu 50 złp. przez Czaplińskiego. Na codzienne ubranie brał sukno czarne, a na barwę sługom karazyę błękitną i zieloną po kilkanaście groszy. Pod koniec mięsopustu 1611 r., zjechawszy do Nowego Sącza, gościł szlachtę w gospodzie, a skoro nie stało pieniędzy, posłał do Tymowskiego. Lecz ten już ostrożniejszy, zaledwie 6 złp. pożyczył, które przez sługę swego Jędrzeja do rąk własnych jegomości oddać rozkazał.

Andrzej Rożen z Kąsnej. Małżonka jego, Zofia ze Stadnickich, bierze 1607 r. 30 łokci sukna błękitnego i czerwonego po 15 gr., a kiru szarego na podszewkę, zwykle sama lub przez urzędnika swego, Jakóba Gieralta. Także na ubranie granatowego po 80 gr., sznurka zielonego i guzików, a bernadyńskiego sukna 8 łokci.

W r. 1609 kupowała falendysz karmazynowy, granatowy i czerwony po 2 złp. 20 gr. do 3 złp. 10 gr., zawsze przez swego Jakóba Gieralta, a dla sług, prócz taniej barwy, brała szare sukno. Podobnie w r. 1611 sprowadza dla sług białe i jasno zielone sukna, płaci za nie na jarmarku w Ciężkowicach.

Jegomość pan Rożen nie zawsze mieszał się w te domowe sprawy; ledwie 1613 r. raczył zaglądnąć do sklepu i wziąć między innemi falendyszku zielono papużego po 2 talary, na co podpisał się własnoręcznie w księdze Tymowskiego.

W r. 1615 sam pan zborgował na dołoman i na delijkę 5 łokci falenduszu czerwonego po 80 gr., lazurowego zaś 1½ łokcia. Znowu podpisał rachunek, który jednak później jejmość pani zaspokoiła, ale nie wszystko od razu, bo tymczasem tylko 30 złp., a i po te musiał kupiec posyłać swego wiernego Nożyńskiego. Nie dobrze go tam przyjęto, a gdy prócz tego zostało długu kil-

---

[1]) Ściborowie byli pochodzenia polskiego, ale w XIV. wieku przyjęli indygenat węgierski i piastowali na Węgrzech wysokie godności. Jeden ze Ściborów, po zwycięstwie pod Grunwaldem wkroczył w granice Polski, w celu powstrzymania dalszych Jagiełły zapędów i zajął Nowy Sącz, lecz został na głowę pobity. (Zob. Mar. Sokołowskiego: Sprawoz. komis. do bad. hist. sztuki w Polsce. T. VIII.).

kadziesiąt złp., zniechęcony kupiec nie chciał dalej borgować. Tak samo 1617 r., kiedy sługa jejmości Marcinek, zażądał utertinu zielonego 4½ łokcia po 50 gr., Tymowski nie chciał dać pierwej, aż Jaworowa bednarka zaręczyła zań. Później jednak złagodniał, skoro mu odwiózł pieniądze sługa pana podsędka, Adama Rożna.

9. Gabryel Sędzimir z Łukowicy. W r. 1609 kupuje pani Sędzimirowa 2¼ łokcia falendyszu czerwonego po 3 złp. 10 gr. i kir zielony, do tego kwartę małmazyi. Zastawia pierścionek z dyamentem. Pierścień musiał mieć wielką wartość, skoro Tymowski zborgował jej jeszcze 40 kilka łokci sukien czerwonych i błękitnych po 23 gr. i kiru 20 kilka łokci, także guzików szychowych. Brała też falendyszek brunatny po 3 złp., a zawsze obiecywała oddać na pewien czas, zwykle do 6 niedziel.

W piątek przed zapustem 1611 r. nabrała korzeni za 9 złp. Mnóstwo sukna kupowali rok w rok, dla siebie i sług, żyli snadź wystawnie. W długu dawał on pszenicę, a ona masło.

W r. 1620 porachowali się dokładnie i odtąd nie borgowali. Pan Sędzimir sprzykrzył sobie widocznie tę wystawność swej żony i powstrzymywał jej hojność. Musiał i kupcowi przykazać, bo odtąd nie borgował nic, chyba za dobrym zastawem. W r. 1632 (już u spadkobierców Tymowskiego) za breklest czerwony po 60 gr. zastawiła pierścionek złoty; 1634 r. znowu pierścionek złoty z rubinkiem; wreszcie 1635 r. garnuszek srebrny z pokryweczką wyzłacaną.

Marcin Sędzimir. W r. 1609 borguje tanie sukna czerwone i lazurowe po 22 gr. Płaci zań pan Trzciński. Na ubranie brał falendysz granatowy po 80 gr., przyczem zastawił czerwony złoty. W r. 1616 za takiż falendysz dał w zastaw szablę srebrem oprawną.

10. Adam z Tabaszowej i Znamierowic Tabaszowski. W r. 1611 nie miał jeszcze kredytu u Tymowskiego, skoro Tomasz Pytlikowicz, cechmistrz krawiecki, musiał zań ręczyć o 1½ złp., a w 7 złp. musiał zastawić szablę.

W r. 1613 za korzenie: anyżek, tatarskie ziele, szafran, pieprz, rodzynki, które brał w małej ilości, także za karazyę angielską zieloną po 22, czeską po 44, falendyszek czerwony po 82 gr., płacił złotem i masłem.

W r. 1616, borgując sukno czerwone po 14 gr. na ubranie synowi, a sobie falendysz na kołpak, dał w zastaw łyżkę srebrną. Na dług dał 5 zajęcy po 62 gr., a dopożyczył jeszcze złotego.

W r. 1619 brał karazyi angielskiej lazurowej 6 łokci po 27 gr., sukna brunatnego 4¼ łokcia po 16 gr., baji czerwonej i uterfinu zielonego 2 łokcie po 50 gr. Obiecał oddać za 2 niedziele. Odpłacał po kilka złotych i dał wiertel jagieł za 40 gr.

W r. 1621 kupił beczkę wina za 70 złp., płacił ortami i czerwonymi złotymi. Jesienią posłał mu Tymowski sukna szaroburego 9 łokci po 10 gr., taniej nie mógł dać, bo było stąpione.

W r. 1624 prócz falendyszu, brał sukna czarnego 11 łokci po 26 gr., a przez sługę Krzysztofa jeszcze 15 łokci po złotemu. Później znów, prócz zwykłego błękitnego, brał breklest, sznurki i guziki.

W r. 1629 dał Tymowskiemu beczkę soli i 4 skóry po 8 złp., pożyczył zaś na gonty 7 złp., wziął też 100 szyb za 2 złp. 15 gr. Dał na to tatarki 4 wiertele po 40 gr., obiecując dać jeszcze 11 wierteli.

Jako dziedziczny pan, pozywa 1636 r. Bartosza Marszałka, garncarza sandeckiego, o spuściznę sobie przynależną po bezdzietnie zmarłym poddanym swym, Walentym Cięciwie, lecz pozwany odprzysiągł się wszystkiego.

W r. 1642 pożyczył 500 złp. Szymonowi Wolskiemu, aptekarzowi sandeckiemu, w przytomności Piotra Kempińskiego.[1])

11. Olbracht Wiktor z Biesnej. W r. 1608 pani Wiktorowa bierze czarny kir, wyziny 4 funty po 6 gr. i ryb. W r. 1610 pan Wiktor sam nabrał dla siebie 5½ łokcia falendyszu czerwonego po 2½ złp., i karmazynu czerwonego 4 łokcie po 80 gr.; a 4 łokcie karazyi czerwonej i lazurowej po 14—22 gr. na kurty sługom i na delie, do tego guziki, sznurki i pętlice. Przez sługę swego, Czudnowskiego, przybrał jeszcze sukna, haftek, pętlic i nici czerwonych.

Z oddaniem pieniędzy nie spieszył się wcale. Dopiero w r. 1613 pojawił się w sklepie Tymowskiego, wraz z panami: Piotrem Rdzawskim i Stanisławem Złockim. Uzbierało się długu 48 złp. 24 gr. Wobec tych panów obiecał oddać, skoro zboże wymłóci. Tymowski gotów był przyjąć nawet niewymłócone zboże i stanęło na tem. Dał tedy 40 kóp pszenicy, a 10 kóp żyta, które kupiec sprzedał za 35 złp. jakiemuś Jantkowi z Chomranic. Ostatek obiecał oddać po wymłóceniu. Lecz nie oddał, a kupiec z żalem wpisał, ile odebrał, dodając, iż reszta przepadła.

---

[1]) Act. Scab. Sandec. T. 57, p. 93.

W r. 1633 znowu się pojawił po pakłak obłoczysty za 80 gr. Ale spadkobiercy Tymowskiego, mając zanotowane w księdze dawne nierzetelności pana Wiktora, nie chcieli borgować, aż za pisaniem i zaręczeniem pana Waleryana Strowskiego z Witowic. Brali wtedy oboje breklestu czarnego 17 łokci po 2 złp. i baji czerwonej 3½ łokcia po 40 gr. Odtąd też wypłacali się należycie.

Ks. Jan Sygański T. J.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MATERYAŁY
do historyi polskiej XIX. wieku.

Działalność emigracyi z roku 1831 na terenie Turcyi do pokoju Paryskiego.

(Ciąg dalszy).

(Dodatek do instrukcyi).

1. Zachęcać obywateli do dobrego obchodzenia się z popami, z chłopami, ze szlachtą czynszową, zgoła ze wszystkimi mieszkańcami, (wystawiając każdemu stanowi korzyści z powstania Polski i ustalenia się jej bytu niepodległego). 2. Upatrywać ludzi zdolnych i poczciwych i tych mianować, ile okoliczności pozwolą, naczelnikami powiatów, zachęcać i mieć dość mniej pewnych do niektórych posług, które mogliby spełniać tak jednak, by jedni o drugich nie wiedzieli tylko w potrzebie. 3. Zbierać pieniądze na sprawę publiczną i takowe natychmiast przesyłać X. Panu — do zbierania pieniędzy, żeby się nie kompromitować u ludzi mniej pewnych, używać powodów religijnych i dobroczynnych, u pewnych wprost na sprawę. 4. Upatrywać w województ. postronnych ludzi zdolnych na naczelników województw i takowych przedstawiać X. Panu przez wysłanych ludzi. 5. Zbierać doskonałą wia-

domość o stanie mieszkańców powierzonego okręgu i o usposobieniach tych ludzi. 6. Zachęcać chłopków do polowania — do nabywania broni i toż samo robić przez naczelników powiatowych i ludzi znanych a pewnych, by jak najwięcej ręcznej broni można mieć w kraju. 7. Mieć wiadomość o dymisyowanych wojskowych w okręgu, o ich zachowaniu i usposobieniu. 8. Starać się wejść w znajomość z naczelnikiem lub wyższymi oficerami i wybadywać, czy nie można przekupstwem lub innym jakim fałszem tę twierdzę nabyć w potrzebie. 9. Zbierać wiadomość jak najdokładniejszą o wojskach, o ich naturze, o charakterze dowódzców, czem można do nich trafić, jak dalece są wiernymi carowi, czy będą się bronili, czy nie — w jakim stanie ich oddziały. O urzędnikach cywilnych i ich usposobieniach. Z tego wszystkiego, jak można najczęściej, posyłać raporta do X. Pana. 10. Mieć doskonałą wiadomość o drogach i miejscowości okręgu i najpewniejszych kryjówkach, gdzieby się można było utrzymać w potrzebie. 11. Zachęcać właścicieli hut, gorzelni i innych fabryk, jeśli ludzie pewni — by skupywali i zwozili w miejsca nie bardzo przystępne wielkie zapasy żywności — aby takowe w czasie potrzeby mogły służyć na magazyny. 12. Zachęcać także ludzi pewnych do skupowania prochu częściami i ołowiu. 13. Także skupywanie sukna i skór dla ludzi fabrycznych w wielkiej ilości. 14. Bez-robienia towarzystw i spisków przedwcześnie, zachęcanie wszystkich, by się mieli gotowymi do powstania na rozkaz ks. Pana, zapewniając jak najsolenniej, że takowy nastąpi, kiedy książę Pan wyrachuje przyjazne okoliczności i zawsze przymierze postronne. 15. Wpajanie we wszystkich potrzebę porządku, posłuszeństwa i poświęcenia się, uszanowania władzy, robiąc silne przekonanie, że z temi tylko rzeczami dojdziemy do niepodległości i wszystkich ulepszeń właściwych i nieodbitych dla nas.

7. kwietnia 1844.

P. Puławski (Achmet-bej) wyjechał d. 2. kw. do Warny z instrukcyami, które komunikowałem poprzednio, gdyż jemu poleciłem, o ile będzie mógł, zająć się i częścią p. Rawskiego. Dałem mu listy do Gonczarowa odemnie, do Panajoła Polaka, u którego zostawał Rawski i któremu wyrobiłem franc. protekcyę, by go więcej zobowiązać, do pp. Rudyszewicza i Dubrawczycza w Ku-

stendży, do Hassan-beja i ten poleciłem dopiero oddać po dokładnem wybadaniu tego Turka listy od X. Mola Mustafy — do swoich agentów w Warnie i Matczynie z poleceniem, aby mu dane były rekomendacye na miejscu i tam, do kogo zechce pojechać. List p. Leona, syndyka oficyalnego kofcrencyi handlowej francuskiej do wicekonzula franc. w Warnie p. Olive. Drogi do komunikacyi wskazałem mu. Dałem mu pieniędzy ilość, jaką wskazuje kopia kwitu tu załączonego. Znalazłem Ormianina Papuh-Ogla, właściciela młynów w Ostakiej, który mi polecił interes o kupno zboża. Poleciłem jak największa ostrożność, a przytem gorliwość i czynność. Zgoła zrobiłem wszystko, co tylko było w mojej mocy, żeby go na dobrej postawie posadzić. P. Puławski przytem zakupił sobie małą apteczkę, a znając się trochę na medycynie, myśli doktorską rzecz prowadzić na Niżu, a ja bardzo pochwalam. Ja mam dobrą nadzieję o p. Puławskim, raporta jego pokażą, o ile on odpowiada potrzebom rzeczy, wymaganiom władzy. Jego posłanie było koniecznie potrzebne — mój przyjazd i pobyt jakiś czas na Niżu może zrobić, że Puławski sam jeden wystarczy — przynajmniej do czasu, coby było oszczędnością dla publicznej kasy, chociaż można doprowadzić, żeby p. Puławski po niejakimś czasie, jak potrafi osadzić się na Niżu, będzie mógł utrzymywać się własnym zarobkiem — ja przedstawiam dla dobra sprawy, żeby go na takie utrzymanie nie puszczać, ale go utrzymywać pensyą skarbową — zwłaszcza, jeśli będzie dobrze robił swoją misyę. Niż jest punktem najważniejszym i misya p. Puławskiego jest bardzo a bardzo ważna; niech tylko dopełni cząstkę tego, co ma poleconem w instrukcyach, a co może i być powinno. P. Rawskiego muszę trzymać w Stambule i dawać mu żołd 100 fr., gdyż inaczej niepodobna, by mógł wyżyć, a porzucić go tak niepodobna — byłaby krzycząca niesprawiedliwość. Ja mniemam, że najlepiej go osadzić na dozorce w Czyfliku, nowych ludzi nie sprowadzać, kiedy niemasz pieniędzy, — odsyłać go do Paryża, trzeba najmniej 400 fr. Taki człowiek, jak p. Rawski, sam sobie utrzymania nie znajdzie, a w czasie danym może być bardzo użytecznym, gdyż ma znajomości i wzięcie u hołoty kozackiej, która na koń najprędzej wsiądzie i nam będzie najpotrzebniejsza. Kiedy tedy Rawski jest na miejscu, to go trzymać do potrzeby. Mam nadzieję, że z (nieczytelne) teraz nie będzie wojował, nie będzie miał o co, ja moje kondycye zawrę z nim tak, aby potem nie skarżył się, chciałbym, aby to jak najprędzej nastąpić mogło dla oszczędności skarbowych wydatków. W Kustendży skasowano

agencyę — z jednej strony szkoda, że nie będziemy mieli przystani i ludzi nam przyjaznych, z drugiej strony korzyść, że nie tyle ludzi ciekawych będzie przejeżdżało przez Niż. szkoda jednak większa, jak korzyść.

Carogród. 17. kwietnia 1844. [1])

Od p. Puławskiego (Achmet-beja) odebrałem dwa listy, jeden z 6. kw. z Warny, drugi z 13. kw. z Kustendży. W pierwszym mi donosi, że był dobrze przyjętym przez Mahameda-Paszę Warny, do którego miał list od mojego przyjaciela Mola-Mustafy. Nie poznał wicekonsula franc., gdyż ten był nieobecny, ale był bardzo przyjaźnie przyjętym przez jego wspólnika, P. Tedeski (miał list do p. Olive, wicekonsula, od teścia p. Cor. p. Jakóba Aléon) donosi mi, że się mu trafia sposobność zwiedzenia Niżu i Dobrudży z przewodnikiem (?) Niemcem. Czeka mego upoważnienia i donosi, że Hassan-bej, rządca Niżu, wyjechał do Carogrodu dla tłumaczenia się z zadanych mu nadużyć pieniężnych w kolonizacyi Arabów na Dobrudży. Odpisałem p. Puławskiemu, upoważniając go do tej podróży, byle tylko nie zaniechał potrzebnych ostrożności z Niemcem i byle ta nie wychodziła za granicę Niżu i Dobrudży, obznajomienie się z krajem uważam za rzecz pożyteczną. W ten moment posłałem Dragmana z obszerną instrukcyą do Hassan-beja. Hassan przyjął go jak można najlepiej, zaraz zapytał go o moje zdrowie i przystąpił do rozmowy o Rawskim. Zwala całą winę na Rawskiego, mówiąc, że mu się nie prezentował, ani władzy się nie prezentował, że on nie wiedział, co on jest za człowiek, że się nosił po wojskowemu, postępował po wojskowemu, że on go sam widział w takim ubiorze, że chłopi rozmaici oskarżali go przed władzą o namawianie do brania za broń, że w nieprzytomności Hassan-beja władza go zaaresztowała myśląc, że on jest Moskalem, że dopiero tam się dowiedziano, iż on jest moim człowiekiem, że kiedy dano znać do Hassana, natychmiast wysłał rozkaz, by go wypuszczono, ale już Rawski był wypuszczony, że on, Hassan, zaraz posłał do Warny do wicekonsula franc. list, że Rawski może wracać na Niż i zajmować się dalej swoim handlem, ale że już Rawskiego w Warnie nie było.

---

[1]) Rps 5487. Bibl. XX. Czartoryskich w Krakowie.

To tłumaczenie Hassan-beja, jakkolwiek zapewnie niesprawiedliwie wszystko rzucające na Rawskiego — trzeba przyjąć za rzecz dobrą, bo się tłumaczy — i protestuje ze swoją przyjaźnią, zapraszał, bym jechał na Niż przed 25 dniami na wielki jarmark i oświadczył po kilka razy chęć utrzymania przyjaznych stosunków z nami. Dragman dał mu na to uczuć, że dla tego nie skarżyłem go, że spodziewałem się, iż to stało się bez jego wiedzy, że nie chciałem mu robić ambarasu — a tem samem psuć zaczętej przyjaźni. Hassan oświadczył, że za kilkanaście dni spodziewa się wrócić na Niż, że teraz jest bardzo zajęty, ale że radby mnie widział i rozmówił się ze mną. Będę się z nim widział i radbym korzystać z zaprosin na Niż, gdyby pieniądze nadeszły. Drugi list p. Puławskiego donosi, że 14-go wyjeżdża do Babadach, że Hufsy-Pasza Ruszczuku miał naznaczyć zastępcę Hassanowi, ale że ten ostatni może się wykupić w Stambule, pisze o ogromnej ilości szpiegów na Nizu, — o obuwie — z prośbą o paszport angielski, o pisma lub ba(niecz.) jako przewodnikowi, o tem, że się poznał z Ajanem (?) Kustendży Hadży Hassan Agą, trudno mu idzie zawiązać stosunek handlowy — o Rawskim nic pewnego dowiedzieć się nie mógł — gdyż musi być ostrożny — to tylko się dowiedział, że Stefan Kara(niecz.) zniknął i dotąd go niemasz — proponuje p. Puławski, by Pasze Ruszczuku obwieścić o ilości szpiegów moskiewskich i ofiarować się wyśledzenie onych. Donosi także, że ogromna ilość naszego ludu przeszła do Turszczyzny tej zimy. Odpowiedziałem p. Puławskiemu, by w ilość szpiegów nie bardzo wierzył, by ich się nie obawiał, gdyż to jest rzecz bezzawodnie przesadzona — tak gadano i mnie — żeby się wstrzymał z komunikacyą z Paszą Ruszczuku — by ustalił swoją posadę handlową, a z resztą bez obawy i z dobrą wolą czekał na mnie. Ostatnia wiadomość p. Puławskiego bardzo się sprawdza. Turcy mówili Kaczkowskiemu, że ogromna ilość kozaków uciekła z Rossyi do Turcyi. P. Puławski pokazuje dość czynności, ale żeby był dobrym agentem, trzeba żebym z nim posiedział z miesiąc na Nizu, a tu nieszczęście, pieniędzy niemasz — nie możesz X. Pan wierzyć, ile straty sprawie publicznej przynosi i przynieść jeszcze może ta nieakuratność w przesyłaniu funduszu na służbę — przedstawiam to tak usilnie, bo czuję całą szkodę i odpowiedzialnym za nią być nie mogę.

27. kwietnia 1844.

Odebrałem od p. Puławskiego list, ale w którym zapomniał dać datę dnia i miejsca, lecz pisze, że był w Babadach i Tulczy, zkąd pojechał do Hirsowy, zwiedził wioski Tatarów i kozaków Rusniaków, będące po drodze. O Tatarach bardzo korzystnie mówi, jest między nimi dwa stronnictwa, jedno kontentne z rządu tureckiego, — mają oni swoją municypalną władzę, do której Turcy się nie wdają i swojego sędziego, który sądzi sprawy Tatarów tylko. Drugie ma niejakąś skłonność ku Moskwie, ale p. Puławski uważa tę za słabą i łatwą do przerobienia. Wszyscy nienawidzą Turków i jak się wyraża p. Puławski, jak wilka do lasu, tak ich natura ciągnie do innego życia. Dopytał się, że człowiek, którego uważają za naczelnika ogólnego, mieszka w Czatal-Kerman i nazywa się Han Murza, ma być młody, roztropny a nawet rozumny człowiek, nie mógł się z nim widzieć, bo Han-Murza wyjechał do Paszy Ruszczuku, za powrotem z nim się pozna. Między Tatarami znalazł p. Puławski ludzi, jak się wyraża, rozumnych z którymi o interesie mówić można. Z kozakami położenie p. Puławskiego — Muzułmanina i beja tureckiego nie pozwoliło wejść w stosunki. Z ajanami (?) Kustendży, Babadach i Tulczy zrobił znajomość i był dobrze przyjętym, ajan zastępca w Babadach powierzył mu, że rząd kazał mu schwytać szpiegów moskiewskich, a on zadość czyniąc woli rządu, schwytał Greka piawocznika i posłał w kajdanach do Stambułu. Całe podejrzenie było, że przyjął kilku kozaków na służbę i ich kaptował. P. Puławski wskazuje konieczność jakiegoś zajęcia się, by mu dało pozór pobytu na Niżu — inaczej przewiduje trudność w utrzymaniu się tam, wskazuje także jako najkorzystniejszy handel — zbożem i woskiem, szczególnie tym ostatnim artykułem — na miejscu tam płaci się oko po 12, 15 i 17 piastrów, tu w Stambule po 36 piastr. Staram się o wynalezienie jakiejś kombinacyi handlowej dla p. Puławskiego, ale to trudno, jeśli niepodobna bez pieniędzy — możeby p. Falkenhagen Zaleski o wosku co pomyślał, ale trzebaby nie odkładać rzeczy i spiesznie z nim się znieść. Polecam p. Puławskiemu coraz więcej wdrażać się w rzecz z Tatarami, co do kozaków, to musi być odłożona aż do mojego przyjazdu, to jest, jeśli ten nastąpi. Jeśli przyjdą zapowiedziane pieniądze i jeśli spóźnienie mojego wyjazdu nie naniesie okoliczności, które go zupełnie mogą przeszkodzić, to jest bardzo złą rzeczą dla sprawy, a przyczyną tego brak funduszów. Żeby kto mógł się zająć poszu-

kaniem w emigracyi człowieka-patryoty roztropnego, któryby chciał choć na czas jakiś wdziać na siebie habit czerńca i być w monasterze zaporożskim, toby było dla sprawy wielką rzeczą, taki człowiek mógłby kierować całem kozactwem, że umieścić go tam snadnie by poszło. Żeby się zajął tem p. Bystrzonowski, przez Sabatynów możeby się dało wynaleźć takiego człowieka, tylko nie demokratę, nie takiego jak Rawski, toby był człowiek nieoszacowany dla sprawy.

7. maja 1844.[1])

Odebrałem list od p. Puławskiego i takowy przesyłam w oryginale, by władza mogła sądzić z pisania o agencie — to zdaje mi się być potrzebnem. P. Puławski okazuje chętność i dość taktu w zapoznawaniu się i w ostrożności — ja mam nadzieję, że przy dobrym kierunku będzie z niego pożyteczny agent i dla tego wyczytując z jego listu brak funduszu, co bardzo łatwo pojmuję, musiał objechać kraj i zapoznać się. Pisałem do p. Marynowicza, prosząc, by mu dał sto franków — a te pieniądze składam jego szwagrowi tu mieszkającemu. Sądziłem, iż należało to zrobić, by nie zmusić p. Puławskiego do powrotu przed moim przyjazdem na Niż, zrobiłem to przed przyjściem statku francuskiego. Poleciłem p. Puł. zapoznanie się z (niecz.)tami. Utrzymanie się agenta na Niżu uważam za rzecz najpotrzebniejszą ze wszystkich naszych robót. Niemożność pojechania tam i ustalenia się, może zniszczyć wszystkie moje nadzieje i zachody.

16. maja 1844.[1])

Z Niżu od p. Puławskiego nie odebrałem raportu — wiem tylko, że był w Kustendży i ztamtąd powrócił do Tulczy — widno, że mu brakowało pieniędzy, co jest rzeczą naturalną, gdyż przy pierwszych objażdżkach musiał więcej tracić, jak gdyby siedział na Niżu już na miejscu — i dlatego, jak mi mówili agenci

---

[1]) Rp. 5487. Bibl. Czart. w Krakowie.

statków parowych. przybyli tu z Kustendży — był zdecydowany wracać do Carogrodu. ale odebrawszy tam moje listy, wziął u p. Radyszewicza 700 piastrów i pozostał — czekam jego raportu, to się stało bardzo szczęśliwie. że nie opuścił stanowiska, ale to razem pokazuje, jak byłaby potrzebna moja bytność tam, a na nieszczęście brak funduszów nie pozwala mi to uczynić. Chciałbym go przyczepić do jakiego handlu, ale to stanowczo zrobić się nie da aż za moim przyjazdem na Niż. P. Puławski jest daleko zdolniejszym od Rawskiego — lubi on Polskę i jest człowiekiem poczciwym — nie dość gorący, ale pojmuje rzecz i jest ostrożnym bez wielkiego obawiania się. Jego pozycya Muzułmanina i beja tureckiego jest nieoszacowaną dla nas. Na Tatarów on jeden tylko może działać — a kozaków może obserwować. On najłatwiej może się zagnieździć na Niżu, a potem mu można będzie dodać człowieka zdolnego do kozaków — ale zdolnego — trzeba go tedy szukać. Taki jak Rawski może być dobrym w chwili powołania do broni — ale do kombinowania posyłek emisaryuszów, co jest głównie potrzebną rzeczą, to on tego ani pojmuje, ani jest w stanie pojąć. Gdyby towarzystwo angielskie. chcące istotnie i rozumnie wspierać Czerkiesów, przystało na założenie komptuaru w Warnie, za pomocą którego możnaby przesyłać broń i proch Czerkiesom, wtenczas by Achmet-bej (Puław.) mógł być użytym do tego komptuaru, równie jak i innych dwóch Polaków z imionami cudzoziemskiemi. Broń i prochy przywiezione mogłyby służyć w potrzebie dla nas na Niżu. co lepsza. jak dla Czerkiesów. I wtenczas mielibyśmy ogromną korzyść w ręku. O tym projekcie założenia komptuaru w Warnie dla Anglików Czerkieso-lubców piszę do p. Bystrzonowskiego i prośbę, by okazał to władzy zaraz po odebraniu — piszę do niego na pocztę. gdyż nie wiem. czy wyspieszę do pakietu Ambasady, gdyż z przyczyny przeniesienia się jej do Turcyi, muszę dniem wprzódy wysyłać tam mój pakiet. Wartoby się starać gorąco o przyprowadzenie do skutku założenia komptuaru w Warnie. Moralnie mówiąc. mamy rękę położoną na Niżu. na tym punkcie najważniejszym dla nas. ale aby go mieć w ręku i na każde nasze zawołanie. trzeba tam się usadowić. Po nieszczęśliwym wypadku Rawskiego całem mojem usiłowaniem było wejść napowrót do niego — bytnością tam agenta X-cia Pana, gdyż według mnie polityka X-cia Pana tak powinna być prowadzona, żeby żaden stosunek nawiązany zerwanym nie był — żeby żadne stanowisko raz wzięte, nie było opuszczone — przy

takiej polityce rzeczy muszą postępować i dojść do pożądanego skutku. Dlatego tu piszę to moje pojecie, bym przed władzą wytłumaczył się z nowej ofiary 500 fr., zrobionej na utrzymanie p. Puławskiego na Niżu. Według mego mniemania taka tylko polityka coraz większą będzie nadawała powagę imieniowi X-cia Pana u dworów nam przyjaznych i doprowadzić nas może do zrobienia powstania w Polsce i do poparcia go silnie.

6. czerwca 1844.[1])

Odebrałem od p. Puławskiego trzy listy z 13., 16. i 31. maja, które tu załączam. Listy te chociaż jeszcze niewiele mówią o rzeczy politycznej, ale pokazują człowieka mającego samodzielność w wyrobieniu sobie zapewnienia osobistej pozycyi, co jest ważną rzeczą w każdym agencie. Mam nadzieję, że z niego będzie pożytek. Zdecydowałem p. Tomasza Radyszewicza, że jedzie na Niż, tam zakłada dom handlowy — przyjmuje do spółki p. Puławskiego, a dwóch agentów naszych uważać jako w swojej służbie zostających. Każdemu wysłanemu odemnie dawać będzie schronienie, zasłonę moralną — ja za to jego komisa będę robił przez mojego drogmana w Carogrodzie i nakażę agentom naszym, by pomagali mu w handlu o tyle, o ile obowiązki służby będą im pozwalać — o ile nie będzie ta czynność przeszkadzać obowiązkom służby. P. Radyszewicz sam nawet będzie nie w jednym razie pomagał naszej rzeczy, do czego jest zdolnym i chętnym. Zgoła, że przychodzimy do posiadania domu czyli przystanowiska, jakiego od dawna sobie życzyłem, bez żadnych zobowiązań się ze strony X-cia Pana, tylko zobowiązanie się moralne ze strony mojej wspierania go w jego handlu, za co w zamian odbieram zobowiązanie się wspierania nas w naszej sprawie. Na zrobienie jakiegoś podarku, jakiejś posługi p. Radyszewiczowi niewiele pójdzie pieniędzy — i to będzie sowicie zapłacone jego posługami. P. Radyszewicz jest doskonały słowianin, nie cierpiący Moskali, był w służbie wojskowej kroackiej w pułkach granicznych, Kroat rodem, umie po turecku i po grecku — bardzo zacny człowiek — na jego poczci-

[1]) Rp. 5487. Bibl. Czart. w Krakowie.

wości polegać można. Jest to takie usadowienie się na Niżu — jakiego od dawna pragnąłem — Opatrzność go nam daje. Jeśli pieniądze przyjdą, a posiedzę parę miesięcy na Niżu — to spodziewam się urządzić rzeczy na dobrą stopę. Co zaś do p. Rawskiego, jego strata jest żadną, bardzo on był właściwym do zbratania się z hołotą kozacką i do rozbudzenia dobrego ducha w tej kozackiej hołocie, co też wypełnił. Dalej rzeczy nie rozumiał i nie mógł zrozumieć, mimo wszelkie instrukcye, on chciał mundurować i organizować kozaków, a nam trzeba emisaryuszów wysyłać, a kozactwo hołotę pod ręką trzymać, nam trzeba z Nekrasowcami się wiązać, a on ich nienawidził dla tego, że porządne ciało, że zakon — nam trzeba z monasterem się łączyć, a on po pierwszej dobrej myśli, zniechęcił się do nich dlatego, że to księża i nie przyjął Tytarstwa, nam trzeba ostrożnie, cichaczem i ukradkiem działać, a on chciałby jawnie, umundurowany. On myśli, że ja mogę wszystko u Porty i poselstwa francuskiego i że jeżeli mu nie daję finansów i zaszczytów, to dla tego, że nie chcę, że nie dbam o niego, ztąd pretensye ciągłe a ciągłe — nierozum i krnąbrność buntownicza są przemagającemi cechami jego charakteru. Hassan-bej, p. Marynowicz i p. Radyszewicz na jedno się zgadzają, że on sam winien swojemu aresztowaniu. Posyłam wszystkie jego papiery i zdanie sprawy, które mu poleciłem, by pisać, chcąc go wyprawić raz pierwszy, kiedym nie mógł z nim wytrzymać, potem mnie prosił, żebym nie posyłał tego zdania sprawy i zniszczył go. Nie zniszczyłem go, bo widziałem w nim rzeczy ciekawe, teraz go posyłam, zwłaszcza, że on chciał mieć to zdanie u siebie w jego listach i w tem zdanie sprawy. Władza będzie mogła widzieć, jakiej trzeba było męki do zachowania stosunku z nim, żeby służba publiczna nie cierpiała. P. Rawski mówił, że część moich listów zniszczył, a resztę mi nie chciał złożyć, niech je władza koniecznie rekwiruje u niego — zobaczy władza, jakem go uczył — naprowadzał — dalibóg wolałbym tatarskiego najdzikszego konia Frankoniego sztuk uczyć, jak uchadzać takiego człowieka: mimo swoją poczciwość, przez głupstwo, gotów największą niedorzeczność zrobić — dlatego prosiłbym władzy, by z nim tak wyjść, żeby cicho siedział i demokratom nie gadał o Niżu i naszych robotach, użyć go do jakiej roboty albo umieścić w szkole naprzykład G(niecz.), to potrzebne i konieczne dla sprawy. Powiada p. Rawski, że ja mu nie wskazywałem posady, któraby dała pozór jego pobytowi, chociaż każdy agent powinien sobie taki pozór na miejscu wynaleść, ma jednak w pierwotnej

instrukcyi miejsce piawocznika wskazane, najwłasciwsze, w każdym liście mu pokazuję, co ma robić — nie wypełniał poleceń do mnie, teraz pretensye, równie jak to, że go do dymisyi podałem. Każdy ktokolwiek przyjedzie na Niż z dobrą instrukcyą, potrafi doskonale zastąpić Rawskiego, byle tylko był posłuszny i dobrej woli. — Takich wybierać potrzeba, a nie innych.

Fr. Rawita-Gawroński.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Fryderyka Chopina
pierwsze lata w Paryżu.
(1831—1838).

STUDYUM BIOGRAFICZNE.

(Ciąg dalszy).

Do tych trzech listów był dołączony czwarty, Elsnera, pisany po francusku, bo nie bez myśli o tem, żeby go Chopin mógł pokazać niektórym. „List Elsnera — pisała mu Ludwika — możesz pokazać Lesueurowi, nawet masz“. Snać Elsner więcej ufał Lesueurowi, niż Kalkbrennerowi. W każdym razie pisany był tak, że i Kalkbrenner mógł go przeczytać.

Oto rzeczony list w polskim przekładzie:[1])

Kochany Fryderyku! Dowiaduję się z wielką przyjemnością, że pierwszy fortepianista (jak pisałeś), Kalkbrenner, przyjął Cię tak dobrze. Znałem jego ojca w Paryżu w roku 1805, a wtenczas już młody jego syn słynął między pierwszymi wirtuozami. Tem więcej mię to cieszy, że Ci przyrzekł odkryć tajemnice swojej sztuki. To mnie jednakże nadzwyczajnie zadziwia, że do tego oznacza koniecznie czas trzyletni! Miałżeby

[1]) Karasowski podając list niniejszy, nic nie nadmienia, że go przetłumaczył z francuskiego oryginału.

od pierwszego zaraz widzenia Cię i posłyszenia poznać, że tyle czasu potrzebować będziesz do przyswojenia sobie jego metody? Żeś geniusz Twój muzyczny tylko dla klawikordu i Twoje usposobienie kunsztowne tylko dla tego rodzaju kompozycyi poświęcić powinien? Jeżeli swemi wiadomościami artystycznemi sztuce naszej w ogólności w osobie Twojej zechce się przysłużyć, jeżeli będzie Twoim prawdziwym przyjacielem, wywdzięczaj mu się, jako uczeń. W nauce kompozycyi nie należy podawać przepisów zbyt drobnostkowo, szczególniej uczniom, których zdolności są widoczne, uderzające; niech sami je wynajdują, by mogli sami siebie przewyższyć i dojść do wynalezienia tego, czego jeszcze nie znaleziono. W mechanizmie sztuki, w posunięciu się nawet w części jej wykonawczej, nie tylko trzeba, żeby uczeń zrównał się z mistrzem swoim i przeszedł go, ale żeby jeszcze miał i coś własnego, czemby także mógł świetnieć. Granie na instrumencie, nawet najdoskonalsze, naprzykład Paganiniego na skrzypcach, Kalkbrennera na fortepianie, ze wszystkiem, czem ono czaruje, czy to przez charakter właściwy instrumentu, czy to przez oryginalność kompozycyi, zastosowanej do uwydatnienia i podniesienia jego przymiotów, granie to, samo w sobie uważane, jest tylko środkiem na polu muzyki, jako mowy uczuć. Rozgłos, jakiego używali niegdyś Mozart, a potem Beethoven, jako fortepianiści, dawno już przebrzmiał, a ich kompozycye fortepianowe, mimo zawartej w nich cechy zacności klasycznej, musiały ustąpić smakowi nowszej mody. Za to inne ich utwory, nie przywiązujące się do jednego wyłącznie instrumentu, ich opery, śpiewy, symfonie, żyją między nami, istnieją i istnieć będą zawsze, obok dzisiejszych dzieł sztuki. *Sapienti pauca.* Nie można doradzać uczniowi zbyt długiego zajmowania się jedną metodą, manierą, jednego narodu smakiem go karmić i t. d. To, co jest prawdziwem i pięknem, nie powinno być naśladowanem, lecz odczutem według swoich praw własnych, praw wyższych. Za wzór (jako *non plus ultra*), ani człowiek, ani naród służyć nie powinien: tylko wieczna natura jest doskonałością samą w sobie. Nakoniec, jednem słowem: to, w czem artysta (zawsze korzystający ze wszystkiego, co go otacza i uczy) zadziwia współczesnych, tylko mieć może z siebie i przez udoskonalenie samego siebie. Bo przyczyna jego prawdziwie zasłużonej chwały tak w teraźniejszości, jako i w potomności, nie jest inna, jak jego genialna indywidualność, żyjąca w jego dziełach kunsztu.

Ponieważ wszystkie te listy nie krępowały w niczem Chopina, owszem, zostawiały mu zupełną swobodę w powzięciu stanowczej decyzyi, więc, przeczytawszy je, wbrew ich podejrzeniom, a także i wbrew namowom przyjaciół paryskich, którzy mniej więcej utrzymywali to samo, postanowił uczyć się u Kalkbrennera. Czy mu pokazał list Elsnera? Nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że Chopin ufał Kalkbrennerowi, nie podejrzewał jego czystych intencyi względem siebie, a będąc pewnym jego „wyższości moralnej", postanowił pójść za jego światłą radą, zwłaszcza, że Kalkbrenner, częściej go słysząc grającego, sam mu oświadczył któregoś dnia, że nie będzie potrzebował trzech lat czasu, żeby się stać godnym reprezentantem wielkiej szkoły fortepianowej, czyli, żeby się stać znakomitym pianistą. Mogło to tylko zachęcić Chopina. Jakoż nie zwłócząc, wziął się do nauki pod kierunkiem Kalkbrennera. Czemu nie spróbować?

W tym duchu też napisał do domu, a osobno d. 14. grudnia do Elsnera. Zapewniwszy go, że w jego liście widział „nowy dowód tej ojcowskiej troskliwości, tych prawdziwych, szczerych życzeń, jakie raczył zachować dla najprzywiązańszego z uczniów", tak uzasadniał swoją decyzyę korzystania z nauk Kalkbrennera: „Nastręcza mi się jedyna sposobność dotrzymania wrodzonej obietnicy, czemuż jej nie mam chwytać? W Niemczech nikomu bym się na fortepianie uczyć nie dał, bo choć niejeden czuł, że mi czegoś jeszcze nie dostaje, nie wiedział sam, czego: ja zaś nie widziałem w swojem oku tej belki, jaka mi dzisiaj wyżej patrzeć zawadza. Trzy lata jest wiele, za wiele (nawet jak sam Kalkbrenner lepiej mi się przypatrzywszy przyznał, co dowodzić Panu powinno, że prawdziwy z zasłużoną chwałą wirtuoz zazdrości nie zna). Jednakże i na trzy lata pracy bym przystał, byłebym tylko mógł tym sposobem duży uczynić krok w moich przedsięwzięciach. Mam tyle pojęcia, że nie będę kopią Kalkbrennera i nic nie zdoła zatrzeć może zbyt śmiałej ale szlachetnej chęci i myśli utworzenia sobie nowego świata, i jeżeli pracować będę, to dlatego, żeby na tem mocniejszych nogach się postawić. Riesowi, znanemu z fortepianu, łatwiej było za Braut[1]) laury po Berlinie, Frankfurcie i t. d. zbierać. Spohr jakże długo za skrzypka był miany, nim Jessonde, Fausta i t. d. napisał. Spodziewam się, że mi Pan nie odmówisz swego błogosławieństwa, wiedząc, na jakich zasa-

[1]) Die Räuberbraut.

dach i z jakiem przedsięwzięciem postępuję“. Jednocześnie, pisząc d. 12. grudnia do Wojciechowskiego, tak mu donosił w tej kwestyi: „Żebyś tu był, sambyś powiedział: ucz się, chłopcze, póki czas. Wielu odradza mi jednak, utrzymując, że ja tak dobrze grać potrafię, jak Kalkbrenner, i że on się narzuca z lekcyami przez pychę, aby potem mnie swoim uczniem nazywać i t. p. To wszystko są facecye. Trzeba wiedzieć, że o ile tu dla talentu Kalkbrennera mają wszyscy a wszyscy uszanowanie, o tyle jego osoby nie cierpią, bo się nie z lada kim paniebraci; a ja Ci szczerze mówię, że jest w nim coś wyższego nad wszystkich wirtuozów, com dotąd słyszał. Pisałem o tem do rodziców, oni jakoś przystają, ale Elsnerowi zdaje się to dziwnem i przypuszcza jakąś zazdrość“.

Że Elsner był w błędzie, a Chopin miał słuszność, kiedy wierzył w lojalność Kalkbrennera, tego niebawem dowiódł ich prawdziwie przyjacielski stosunek z sobą, nie żaden stosunek ucznia do mistrza, czy mistrza do ucznia, ale stosunek koleżeński zupełnie, stosunek, który przynosi zaszczyt Kalkbrennerowi, jako człowiekowi. Po za lekcyami, do których Chopin przykładał się pilnie i z całem przejęciem, a które dla obu raczej były interesującem spędzeniem czasu, nie lekcyą w dosłownem znaczeniu tego wyrazu, Chopin stał się serdecznie oddanym przyjacielem całej rodziny Kalkbrennerów, a sam Kalkbrenner, snać zadowolony ze swego genialnego ucznia, czynił wszystko z swej strony, żeby mu ułatwić stosunki w Paryżu. W tym celu, na przyjęciach u siebie, na których bywała śmietanka paryskiej arystokracyi ducha, zarówno ze sfer muzycznych, jak literackich i artystycznych, poznał go z mnóstwem wybitnych osobistości, albo go wprowadził do wielu domów, do których bez niego byłoby mu dostać się trudno. Kiedy Chopin zaczął się nosić z myślą dania koncertu, Kalkbrenner nie tylko mu pierwszy przyrzekł swój udział, (co już samo równało się dobremu finansowemu rezultatowi koncertu), ale nadto z całą gorliwością użył swoich osobistych stosunków z innymi pierwszorzędnymi wirtuozami, żeby również swoim występem przyczynili się do zwiększenia atrakcyjnej siły projektowanego koncertu. Miał słuszność Chopin, gdy pisał do rodziców o „wyższości moralnej“ Kalkbrennera, który nim zajął się nie tylko jak opiekun, ale jak ojciec, jak brat! Wogóle w bardzo krótkim czasie przyszło do tego, (co ogromnie dziwiło tych wszystkich, z którymi Kalkbrenner „paniebracić się“ nie miał najmniejszej ochoty), że Kalkbrenner, choć niby to dawał lekcye

Chopinowi, coraz bardziej z nauczyciela przeobrażał się w jego wielbiciela, czego dał wymowny dowód, skomponowawszy świetne waryacye na temat Mazurka Chopina:[1]) *Variations brillaites pour le piano sur une Mazourka de Chopin.*[2]) Równocześnie Chopin, drukując swój Koncert E-moll dedykował go Kalkbrennerowi. Nadto Kalkbrenner, gdy mu wypadło improwizować, czy to na koncertach, czy na wieczorach w domach prywatnych — w swoim między innemi — bardzo często swoje improwizacye osnuwał na tle melodyi z kompozycyi Chopina, zwłaszcza z jego Mazurków. Trudno wymagać więcej! W ten sposób ułożył się dziwnie miły stosunek między dwoma artystami, z których jeden był „królem fortepianu“, a drugi stał się niebawem instrumentu tego — jak trafnie powiedziano — Kopernikiem. Tymczasem młodziutki „Kopernik“ uczył się jeszcze pod kierunkiem „króla“ i „mistrza“ — jak Rafael u Perugina — ale uczył się wyłącznie w kierunku wirtuozowskim, pracował nad techniką, którą tak podziwiał u Kalkbrennera, a pragnąc grać tak, jak Kalkbrenner, mieć jego wyćwiczone palce, wcale się nie starał naśladować jego kompozycyi. To była całkiem odmienna dziedzina, do której nie dawał wtrącać się nikomu, nawet Kalkbrennerowi. Tutaj wierzył w swoją oryginalność, nie chcąc być niczyją „kopią“. Kalkbrennerowi, którego uważał za pierwszego fortepianistę w wielkim stylu, powierzył swoje palce, ale też nic więcej. O kompozycyi prawdopodobnie nie było mowy na lekcyach z Kalkbrennerem. Jak się zapatrywał na jego rolę, jako pedagoga, w stosunku do siebie, to doskonale i dowcipnie określił d. 25. grudnia 1831 r. w swym liście do Wojciechowskiego: „Co mi o drodze mojego artystycznego życia piszesz, jest także prawdą, o jakiej i ja mam to samo przekonanie. Jadę po niej własnym ekwipażem, tylko furmana do koni nająłem“. Własny ekwipaż, to oryginalność Chopina, to ten „nowy świat“, który sobie w muzyce „utworzyć“ pragnął. Konie, to wyłącznie palce, to wirtuozowskie opanowanie klawiszy, to technika bez zarzutu, w której zakresie odczuwał pewne braki, „wiedząc, czego mu nie dostaje“, a w której musiał celować, skoro „przymuszony był myśleć o torowaniu sobie drogi w świecie, jako pianista“. Najęty furman do tych koni, to Kalkbrenner! Ale furman jest jedynie od powożenia; o drodze zaś, którą należy obrać, żeby bez przygód dojechać do danego — artystycznego — celu.

[1]) Opus 7, nr. 1.
[2]) Opus 120.

decyduje tylko właściciel ekwipażu. Z tego sobie Chopin jasno zdawał sprawę. Trzeba podziwiać jego zdrowy rozsądek, jego trafny sposób stawiania kwestyi. Wiedział, czego chciał.

III.

W zakończeniu listu swego z d. 27. listopada 1831 r., donosząc Fryderykowi o wysłaniu dlań „niewielkiego zasiłku", prosił go Mikołaj Chopin, żeby o ile możności starał się trzymać zdaleka od nadciągającej do Paryża emigracyi: *en t'engageant à ne pas trop te fier à bien des nouveaux venus*; albowiem, nie chcąc mieć utrudnionego lub wprost uniemożliwionego powrotu do kraju, należało być ostrożnym w zbliżaniu się do politycznie skompromitowanych emigrantów. Wszak wypadało mieć na względzie, że Chopin nie należał do emigracyi, że wyjechał z kraju przed rewolucyą i za paszportem, czyli, że każdej chwili, gdyby zechciał, mógł bez żadnych przeszkód wracać do Warszawy. Dlatego radził mu ojciec, by się nie kompromitował przez zbyt ścisłe stosunki z wychodźtwem polskiem, by nie palił za sobą mostów. Wiadomo było, że ambasador rossyjski w Paryżu, hrabia Pozzo di Borgo, bacznie śledził, na skutek specyalnej instrukcyi cesarza Mikołaja, co się działo wśród polskich wychodźców... Chopin jednak, niepomny tej ojcowskiej przestrogi, całą duszą przylgnął do emigracyi, chętnie uczestniczył w jej różnych zebraniach, bo przedewszystkiem zależało mu na manifestowaniu swej polskości, co nawet na paryskim bruku poniekąd było koniecznem, jeśli nie chciał, żeby go brano za Francuza. Że Chopin nie stronił od emigracyi, ale owszem garnął się do niej, że zaraz w początkach brał żywy udział w życiu emigracyjnem, dowodzi chociażby jego list z d. 25. grudnia 1831 r. do Wojciechowskiego, któremu pisze między innemi: „A teraz ubiorę się i pójdę, a raczej pojadę na obiad, jaki dzisiaj nasi dają dla Ramoriny i Langermanna..." Widocznie, że na takich uroczystych obiadach, które emigracya urządzała dla swoich różnych znakomitości, Chopin bywał dość regularnie, bo gdy w następnym roku wyprawiono wielki obiad dla generała Dwernickiego, między jego uczestnikami był i Chopin. Był na nim i Słowacki, który tak między innemi o tym „wielkim obiedzie" pisał do matki: „Podczas obiadu Cezary (Plater) biegał i zapraszał nas na wieczór artystów do siebie; był to wieczór z mężczyzn samych złożony. Chopin, sławny fortepianista, grał nam, gadaliśmy różne poezye, słowem, że

dobrze nam zeszedł wieczór. Wielu było Wołynianów, wiele wypiliśmy szampana... Wieczór ten był naśladowaniem świetnych wieczorów, które tu dają artyści francuscy: na takich wieczorach muzycy najpierwsi grają, malarze przy stolikach rysują karykatury i często korzystają z twarzy przytomnych sawantek. Wojażerowie opowiadają swoje podróże, uczeni swoje odkrycia i t. d.. W kilka dni potem u Straszewicza był drugi taki wieczór, ale jak zwykle z długich przygotowań nic się nie klei, tak i na tym wieczorze nudziliśmy się śmiertelnie od 10-tej do 2 giej w nocy; pod koniec jednak Chopin upił się i prześliczne rzeczy improwizował na fortepianie".[1]) W tym samym roku 1832 pisał Bohdan Zaleski w liście do Ludwika Nabielaka: „W tej chwili przyszedł do mnie sławny nasz Karol Różycki. Idziemy zaraz do Mickiewicza, a z Mickiewiczem do Chopina, fortepianisty sławnego".[2]) Wszystko to świadczy, że Chopin nie unikał stosunków z emigrantami polskimi.

Ale bo też jak miał stronić od nich, kiedy wśród emigrantów właśnie liczył tylu osobistych przyjaciół i kolegów z Warszawy! Przestając z nimi, zapominał chwilami, że jest na obczyźnie. Nie upłynęło kilka miesięcy, a znaleźli się tu obaj Mochnaccy, Kamil i Maurycy, obaj Zalescy, Józef i Bohdan, dwóch Grzymałów, Franciszek i Wojciech, dwóch Wołowskich, Franciszek i Ludwik, Leon Smitkowski, Aleksander Hoffman, Teofil Kwiatkowski, Andrzej Plichta, a w końcu przyjechał i Stefan Witwicki. Przez nich nawiązały się nowe znajomości i przyjaźni: z Aleksandrem Jełowickim, z Eustachym Januszkiewiczem, z Józefem Straszewiczem, z Napoleonem Ordą, z Feliksem Wrotnowskim, z Juliuszem Słowackim, z Władysławem i Cezarym Platerami, oraz z mnóstwem innych. A ponieważ emigracya, z małemi wyjątkami, była nastrojona rewolucyjnie, więc i Chopin — jak przystało na serdecznego przyjaciela a pewno i stronnika Maurycego Mochnackiego — przysięgał na rewolucyę. „Kocham karlistów — pisał o tem do Dominika Dziewanowskiego — nie cierpię filipistów, sam jestem rewolucyonistą". Zdaje się jednak, że więcej był rewolucyonistą, aniżeli demokratą, a jeśli nim był nawet, to swego demokratyzmu — bardzo modnego na emigracyi — nie posuwał tak daleko, żeby nie dbać o zażyłe stosunki z arystokratami. Owszem na tych sto-

[1]) List z Paryża d. 3. września 1832.
[2]) List z Paryża d. 4. grudnia 1832.

sunkach, do których zresztą przywykł od dziecka, bardzo mu zależało.

Ztąd, jeszcze w roku 1831 zaprzyjaźnił się z domem kasztelana Ludwika Platera na rue de Londres, gdzie będąc w nadzwyczajnych łaskach u pani kasztelanowej, a w niemniejszych u kasztelanki, bardzo muzykalnej panny Pauliny, w krótkim czasie był na zupełnie bezceremonialnej stopie, uważany za domowego prawie. Kochano go, jak syna, pieszczono, psuto. Pierwszą uczenicą, która od niego zaczęła brać lekcye w Paryżu, była hrabianka Platerówna, poprostu „panną Pauliną" przez wszystkich nazywana, o słabości zaś, jaką pani kasztelanowa miała dla Chopina, najlepiej świadczy jej *bon mot* o Chopinie, Liszcie i Hillerze: „Si j'étais jeune et jolie, mon petit Chopin, wyraziła się raz w rozmowie z Fryderykiem, je te prendrais pour mari, Hiller pour ami et Liszt pour amant". Na wieczorach u Platerów, na których w karnawale nieraz Chopin na przemiany z Lisztem, z Hillerem, z Sowińskim, z Ordą, przygrywali do tańca, bywało wszystko, co emigracya posiadała świetniejszego. Bywał tu szczerze zaprzyjaźniony z kasztelanem, generał Kniaziewicz, którego Chopin znał z Drezna, bywał „stary patryarcha poetów" Niemcewicz, Chopinowi dobrze znany z Warszawy, bywał Słowacki, którego Chopin nie lubił, bywali wszyscy główniejsi członkowie „monarchicznego" stronnictwa Czartoryskich, bywały wszystkie arystokratyczne rodziny polskie, stale lub czasowo mieszkające w Paryżu, bywało i niemało dystyngowanych cudzoziemców, Francuzów i Anglików, bywało i wielu pierwszorzędnych artystów, muzyków, malarzy, poetów, historyków. Dla Chopina było bardzo pomyślnem, że właśnie z tym domem tak się związał ściśle, bo Platerowie mieli olbrzymie stosunki, a więc bardzo mu mogli być pomocni. Jakoż byli w wielu wypadkach. A przytem był to jeden z najświetniejszych domów polskich, a na jego „czwartkach" panował taki duchowy poziom, że o równy mu nie było łatwo nawet w najpierwszych salonach francuskich. Nie zawsze tak było, bo zdarzały się i czwartki skromne, raczej familijne, ale czasami zdarzały się i wyjątkowo świetne. Na jednym n. p. rozegrał się sławny turniej pomiędzy Lisztem, Hillerem i Chopinem, kto najlepiej zagra Mazurka: Jeszcze Polska nie zginęła. Zaczęło się od tego, że Hiller i Liszt utrzymywali, że nie potrzeba być koniecznie Polakiem, aby hymn ten zagrać z należytem zrozumieniem i odczuciem jego ducha. Chopin, wraz z całem towarzystwem polskiem, był innego zdania, utrzymując, że cudzoziemiec nie po-

trafi z melodyi tej wydobyć należycie to, czego ona jest natchnionym wyrazem: to może oddać tylko Polak. Postanowiono, że ją wszyscy trzej pianiści zagrają po kolei, a zgromadzeni słuchacze rozstrzygną, komu się należy palma zwycięstwa. Pierwszy zasiadł do fortepianu Liszt, po nim Hiller, a dopiero po nich Chopin, który tak wspaniale, z takim porywającym zapałem uwydatnił bohaterskiego ducha tej pieśni nadziei i zwycięstwa, że i Hiller i Liszt, uprzedzając wyrok zgromadzonych słuchaczy, uznali się za pokonanych. O najrozmaitszych figlach Chopina, które raz po raz urządzał Platerom, a które świadczyły o jego nadzwyczajnej poufałości z nimi, istnieje szereg anegdot.[1])

Przez Platerów wszedł w równie przyjacielski stosunek z domem Czartoryskich, którzy, osiadłszy w Paryżu, zamieszkali na Faubourg du Roule. Razem z księstwem Adamowstwem przyjechały tu księżna Sapieżyna, matka księżnej Adamowej, i księżna Wirtemberska, autorka *Malwiny*. Chopin znał obie z Warszawy, od Zamoyskich. Tutaj stał się ulubieńcem całej książęcej rodziny, a na „poniedziałkach“ u księżnej, na których bywało mniej więcej to samo towarzystwo, co u Platerow, nigdy się nie dał prosić, gdy się domagano, by zasiadł do fortepianu. Bardzo często grywał i do tańca, w nieporównany sposób grając zwłaszcza mazury. Niezrównanym był również, gdy chcąc rozweselić towarzystwo, popisywał się swym talentem naśladowczym, gdy pokazywał, jak to gra Liszt lub Pixis. Były to parodye złośliwe niekiedy, bo podchwytujące różne śmieszności znakomitych artystów, ale przypatrując się tym „poliszynelom“ Chopina, całe towarzystwo musiało zanosić się od śmiechu. I on wtedy, tak zwykle smętny i wytworny w manierach, ożywiał się do niepoznania, nabierał humoru i werwy, o jakie by go nikt nie posądził, był pełen konceptów, rzucał rakietami dowcipów najprzedniejszych, słowem, stawał się osią ogólnego rozbawienia. Nie zawsze bywał takim, ale w gronie rodaków, w gronie dobrych znajomych, gdy wśród nich nie brakło i pięknych kobiet, lub takich, które cieszyły się jego sympatyą, ożywiał się, rozweselał, wpadał w dobry humor,

---

[1]) W papierach po Chopinie znalazły się i listy Platerów. W jednym Ludwik Plater, nie zastawszy Chopina, pisze kilka słów po francusku w jego mieszkaniu (przy boul. Poissoniere) zapraszając go do siebie na wieczór, na którym ma być kilku Polaków, pragnących usłyszeć Chopina. W innym liście pani kasztelanowa pisze między innemi: „Niech Chopenek przyszle swój manuskrypt nut. Czy mówiłeś z p. Frepą? Spodziewam się, że się pożegnasz z nami“.

a wtedy różnym „poliszynelom" nie było końca. Ale na to musiał się czuć między swoimi. co właśnie miało miejsce w domu Czartoryskich.

Z pomiędzy polskich domów arystokratycznych. z którymi Chopin pozostawał w bardzo bliskich stosunkach. wyróżniał się także dom hr. Komarów. którzy go znali jeszcze z Drezna. zkąd już na początku r. 1832 przenieśli się na stały pobyt do Paryża. Bawiła też tu z nimi od r. 1832 córka ich, hrabina Delfina Potocka, żona Mieczysława, z którym jednak żyła w separacyi. Zarówno jej. jak i jej dwóch młodszych sióstr. Ludmiły i Natalii, równie jak ona posągowo pięknych, był od samego początku Chopin gorącym wielbicielem.

Po za temi trzema pierwszemi domami polskiemi w Paryżu miał tu wkrótce Chopin jeszcze i kilkanaście innych, Wołowskich. Grabowskich, Ossolińskich. Hoffmanów. Plichtów oraz „Lorki" Czarnowskiej. dla której zawsze był pełnym sentymentu na tle wspomnień warszawskich. Te same wspomnienia. choć innego rodzaju. bardzo mu czyniły miłym dom Karolostwa Hoffmanów, jako że dla pani Klementyny z Tańskich od dziecka żywił kult szczególny. U Andrzejostwa Plichtów był jak u siebie. pełen uwielbienia dla rzadkich cnót pani Plichciny.

Jednocześnie z emigracyą, od której w końcu roku 1831 zaroiło się w Paryżu. przybył tu z Warszawy, także w roli politycznego rozbitka. Aleksander de Moriolles, który po śmierci Wielkiego Księcia Konstantego, nic nie mogąc wskórać u rządu rossyjskiego. rozgoryczony wrócił do Francyi. Przybywszy do Paryża, odszukał Chopina. „przywożąc mu serdeczne pozdrowienie od swej córki". Po niejakim czasie przyjechała i sama „Mariolka". Oczywiście, że Chopin zaczął bywać u niej, a choć już nie kochał się w niej. jak za warszawskich czasów. to jednak nie przestał mieć sympatyi dla niej. Wiedząc. że i „Mariolka" i jej rodzina, mają dlań — według jej zapewnienia w jednym z listów do niego — *toujours la même amitié pour le genie devenu grand que pour le virtuose de 7 ans* — chętnie w ich towarzystwie, a zwłaszcza w towarzystwie „Mariolki", tytułującej go „Monsieur le Diabelek", odświeżał wspomnienia warszawskie, pod jednym warunkiem wszakże, by go w imię tych wspomnień z czasów R o n d a à l a M a z u r. nie chciano... żenić z Mariolką. O tem mu się nie śniło. A jednak rodzice Mariolki. która. jako niebogata hrabianka. jakoś nie mogła wyjść za mąż. nie tylko przemyśliwali o tem. żeby ją wydać za Chopina, ale zdaje się nawet, że w tej

kwestyi wymienili listy z rodziną Fryderyka. Ale cóż z tego, że rodzice Chopina, a nawet jego siostry, nic nie mieli przeciwko temu mariażowi, kiedy sam „Monsieur le Diabelek“, choć bardzo lubił Maryolkę, wcale w tej chwili nie myślał o ożenku, ani z nią, ani z kimkolwiek innym. Że jednak w Warszawie nie miano nic przeciw Maryolce, dowodził list Ludwiki do Fryderyka, która mu tak pisała d. 27. listopada 1831 roku: „Był Nowakowski: chciał, żeby dać te ronda, coś dla Moriolles kazał wylitografować, ale Papa nie dał. Czy każesz? to się dadzą. Nie piszesz o Aleksandrince, czy ona istotnie nie zasługuje na Twoje afekcye?“ Już to samo, że Chopin nie pisał o niej, dowodziło, że dla tych matrymonialnych powodów zaczął politykować z Maryollami, a gdzie się zaczyna polityka, tam się kończy szczerość, a gdzie się zaczyna brak szczerości, tam się zwykła kończyć i przyjaźń. Bardzo być może, że w ten sposób powoli zaczął ostygać stosunek z Maryollami...

Tymczasem Chopin wciąż nawiązywał nowe stosunki, w tej liczbie z wieloma znakomitościami literackiemi. Na początku sierpnia poznał się z Adamem Mickiewiczem. Wprawdzie niezawsze zgadzali się z sobą, owszem, najczęściej mieli odrębne zapatrywania, ale pod jednym względem byli podobni do siebie: Mickiewicz unosił się nad muzyką Chopina, Chopin unosił się nad poezyą Mickiewicza. A przytem obaj byli genialnymi improwizatorami. To też, gdy byli razem, a bywając w tych samych kołach, ciągle spotykali się ze sobą, zdarzało się nieraz, że albo Mickiewicz improwizował po improwizacyi Chopina, albo Chopin improwizował po improwizacyi Mickiewicza. Szczęśliwi ci, co mogli być świadkami tych improwizacyi! Oto zaś, w jaki sposób raz Mickiewicz scharakteryzował Chopina: „Oto on, najucieszniejsza figura, jaką znałem na świecie: Talent Garricka, dowcip warszawsko-francuski. I jedno mię w nim tylko nieprzyjemnie uderzało, to zabawianie swoją osobą figurek salonowych, z których żartował i miał racye... Polskiej matki dusza grała przez niego, śpiewała, szlochała, a dusza ojca-Francuza śmiała się na całe gardło: i to był Chopin!“ Gdy Mickiewicz pisał *Pana Tadeusza*, na wieczornych zebraniach u niego na *Carrefour de l'Observatoire,* na których poeta odczytywał świeżo napisane pieśni poematu, bywał wraz z wieloma jego przyjaciółmi i Chopin.[1]) Te „nocne roda-

[1]) Władysław Mickiewicz, *Żywot Adama Mickiewicza*. II. 266.

ków rozmowy" „u Mickiewicza, który wtedy tworzył Pana Tadeusza, tak opisuje Bohdan Zaleski: „Odwiedzali Adama wtedy tłumnie, jako słynnego już autora Wallenroda, Dziadów i Ody do młodości, rozbitkowie powstania listopadowego, roznamiętnieni, krzykliwi, powracający z Taranne i Vauban. Tak zwały się dwie Góry, huczące naprzeciw siebie wyklinaniami, nasze emigranckie Hebal i Garyzim. Z umiarkowańszą bracią Adam chętnie przestawał: usiłował nastroić zwichnione umysły do zgododźwięku i zapał ich nieobłudny skierować ku wyższym celom, pożyteczniejszym dla sprawy narodowej. Nie bardzo mu się to udawało. Nastały wkrótce wieczorne schadzki u Adama, po większej części umiarkowańszych osób i tem samem sympatyczniejszych. Uczęszczali na nie, ile pamiętam: Jełowiccy, Edward i Aleksander, bracia Sobańscy, Kaszyc, Worcel, Cezary Plater, Karol Montalambert, Dawid rzeźbiarz, generałowie Dembiński i Miś Mycielski, Władysław Zamoyski, Fryderyk Chopin, Franciszek Szemioth, Leonard Chodźko, Wrotnowski, Weisenhoff, Januszkiewicz, Kołysko, K. E. Wodzyński, Kajsiewicz, Rettel, Semenenko, Ropelewski i wielu, wielu innych. Goście przychodzili do szczupłych pokoików nie codzień, ale po parę razy w tygodniu, na pół godziny, na godzinę, czasem raz jeden na miesiąc. Adam stał wtedy na swym zenicie, w pełni twórczości poetyckiej i w ciągłem podniesieniu ducha. W mowach i rozmowach codziennych błyskawicował parabolami, rozświetlającemi głębie ducha, sypał jak z rękawa genialne spostrzeżenia, cudne myśli, oryginalne dowcipki w oryginalnem wysłowieniu. Schadzki te, a właściwiej mówiąc biesiady patryotyczne, toczyły się w najzupełniejszej swobodzie, o przedmiotach tyczących się Polski, jej bied i prześladowań ówczesnych." Chopin niemało musiał korzystać na tych zebraniach, w tej skondensowanej a podniecającej atmosferze patryotyzmu." Wogóle na emigracyi często łączono nazwisko Mickiewicza i Chopina, nie tylko jako dwie znakomitości pierwszego rzędu, jako dwóch geniuszów, jako dwie chluby narodu polskiego, ale jako dwa pokrewne sobie duchy. Kiedy Mickiewicz, w ekstazie natchnienia, improwizował, we wzroku jego przymglonym i zapatrzonym jakby w zaświaty, widzieli niektórzy „melodyę fantastycznych improwizacyi Chopina".[1])

F. Hoesick.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) Wspomnienia moje o Francyi, Kraków 1859.

Z młodości Bony Sforzy.

(Dokończenie).

Prawdopodobnie nie opuściła Pawii, gdyż zdrowie Jana Galeazza jeszcze się pogorszyło. Przytem, nastąpiło wtedy zerwanie stosunków z Morem. Karol VIII. już kierował się z wojskiem ku Piemontowi. Dziad Izabelli, król Ferdynand, odwołał swego rezydenta z Medyolanu i odesłał rezydenta medyolańskiego z Neapolu, zasekwestrował dochody księstwa Bari.

Straszne chwile musi przechodzić córka Alfonsa II., wobec zbliżającej się tragedyi domowej i publicznej. Zachorowała przy chorym mężu, przytem Bona dostała ospy.[1]) Paweł Bilia, widocznie jeden z otoczenia Izabelli i Jana Galeazza, pisze z Pawii 1. października list do Mora:

„Dziś wystąpiła wcale obficie ospa madamie Bonie, córeczce Jaśnie Oświeconej Pani, o czem miałem sobie za obowiązek donieść Waszej Wielmożności, tak, jak i nadal uczynię w miarę przebiegu choroby.

„Powyżej wymieniona Pani, zdaje się, że od kilku dni lepiej się ma.“

Izabella była wtedy w ciąży.

Tymczasem Jan Galeazzo gaśnie, umiera w listopadzie (1494 r.) w zamku w Pawii, w dwudziestym szóstym roku życia, widząc

---

[1]) Może szkarlatyny.

nad łożem swojem pochylone dwie straszne twarze: młodego, szpetnego Karola VIII., który wtedy nadciągnął z wojskiem do Lombardyi i Ludwika il Moro. Była to prawdziwa tragedya! Co się wtedy działo w duszy Izabelli? Trudno opisać jej boleść, zgrozę, trwogę i nienawiść tłumioną do tyrana rodziny w chwili, kiedy traciła ukochanego małżonka, zrospaczona i bezsilna.

Bona wyzdrowiała z ospy, gdyż doktorowie Mikołaj Cusani i Gabryel Pirovano, pisali poprzednio do Medyolanu: „Madonna Bona, córka Jaśnie Oświeconej Madonny, znajduje się w doskonałym stanie co do ospy, która u niej wystąpiła...“ Ale za to matka cierpiała na boleści żołądka, zkąd podejrzywano, iż były próby otrucia jej, bo i przedwczesną śmierć męża przypisywano truciznie, zadanej przez stryja, choć podejrzenie w owych czasach powtarzało się tak często, że zbyt na seryo brać go może nie trzeba.

Urodziła się jej w marcu (1495 r.), tj. w cztery miesiące po śmierci męża, trzecia córeczka, Bianka, która żyła tylko dwa lata, gdyż umarła 28. stycznia 1497 roku. Wynika to z listu, jaki stara królowa Bona pisała w r. 1551, tj. na cztery lata przed opuszczeniem Polski, a którego kopia znajduje się w archiwum państwowem (pod rubryką P o l o n i a) w Medyolanie. Bona odniosła się wtedy do Aleksandra di Lampugnano, o zarządzenie poszukiwań, w jej specyalnie interesie, o wierzytelne świadectwa co do śmierci ojca, księcia Jana Galeazza, jako też i co do tego, że jej matka była wtedy w czwartym miesiącu ciąży, oraz i co do narodzin siostrzyczki Bianki. Prosiła, aby szukano, gdzie została pochowaną, czy może w Nawarze?

Myśl jej odgadujemy z innego dokumentu, znajdującego się w tym samym dziale, tj. z listu datowanego 5. lipca 1556 r., kiedy Bona powróciła była do Neapolu i Bari od dwu miesięcy. Królowa kazała wtedy oświadczyć, za pośrednictwem Jakóba Maryi Stampy, medyolańskiego patrycyusza i Karola Antoniego Gambacosty, że chce w medyolańskiej katedrze wznieść rodzinną kaplicę, aby zebrać w niej ciała wszystkich zmarłych z swojej rodziny. Kanclerz cesarza niemieckiego, ówczesnego władcy Medyolanu, przychyla się do życzenia Bony. W istocie, ciała jej rodziny były rozproszone. Matka zmarła w Neapolu, ojciec w Pawii, brat Francesco we Francyi, Hipolita siostra została złożona w Neapolu, a o drugiej, tj. Blance, nie wiedziała nawet, gdzie ją pochowano? Widocznie chciała zrobić to samo, co Zygmunt, kiedy fundował kaplicę Jagiellońską w katedrze na Wawelu, ale zamy-

sły te, z powodu jej rychłej śmierci, zaszłej w półtora roku później, nie doszły do skutku.

II.

Przygnębiona, bezsilna, podczas gdy Karol VIII. zajmował Neapol, wróciła Izabella z Pawii do Medyolanu, wyczekując dalszych wypadków, ale nie zamieszkała już w Castelsforzesco, tylko osiadła z dziećmi na uboczu, w zamku przy dawnej bramie Giovia, dziś już nie istniejącym. Musiała ustąpić przed wrogiem: Wiadomości, jakie dochodziły z Neapolu, zapewne przez Rzym, nie były tego rodzaju, aby mogły podnieść na duchu: Jej dziadek Ferdynand umarł, a ojciec, Alfons II., wobec zbliżania się Karola VIII. z wojskiem, abdykował i uciekł do Sycylii, a rządy objął Ferdynand II., brat Izabelli, w chwili kiedy król francuski wkraczał tryumfalnie, w lutym 1495, do Neapolu i koronował się na króla. Rozpoczynała się więc długa wojna. Potem Karol VIII. wracał w maju do Francyi, zostawiając załogi, podczas gdy przeciw niemu zawiązywała się liga cesarza Maksymiliana, Ferdynanda katolickiego, Wenecyi, papieża Aleksandra VI. i przestraszonego jego powodzeniami, Ludwika il Moro. Następne lata wypełnione są więc utarczkami między Hiszpanami i Francuzami, w czasie których umiera brat Izabelli, a jej stryj, Fryderyk, dobija się o królestwo.

Mało wiemy o tych latach, jakie matka Bony spędziła wtedy w Medyolanie, aż do chwili, kiedy w końcu 1499 r. ucieka na południe. Wiemy tylko, że była świadkiem zupełnego objęcia władzy przez swego prześladowcę, gdyż szlachta medyolańska oddała ją Morowi i tylko potrzeba było jeszcze ceremonii doręczenia chorągwi księstwa przez cesarza, aby sankcya stała się zupełną.

Jakoż uzyskał ją od męża Bianki Sforzy, obecnie cesarza, (po ojcu swoim Fryderyku III.), Maksymiliana. W d. 5. kwietnia 1495 r. otrzymuje il Moro, prawem wolnego lenna, Medyolan.

Na słynnym pomniku cesarza, w nadwornym kościele w Insbruku, otoczonym, jak wiadomo, posągami rodziny Habsburgów, znajduje się płaskorzeźba, przedstawiająca udzielenie lenna Ludwikowi Sforzy. Cesarz siedzi na tronie zdobnym w podwójnego orła i ma obok siebie Biankę Sforzę: przed nim klęczy il Moro i otrzy-

muje symboliczną chorągiew z herbem Medyolanu. tj z wężem zjadającym dziecko. Otaczają ich dwory i dygnitarze.

W r. 1497 umiera Beatrycze d'Este. żona obecnego pana Medyolanu. W następnym roku umiera Karol VIII., a wstępuje na tron jego siostrzeniec. Ludwik XII., książę orleański. który podejmie prawa swoje i do Neapolu i do Lombardyi. gdyż pomiędzy antenatami znajduje się jedna z Viscontich. panów Medyolanu. zanim Sforzowie zagarnęli byli władzę. A w owych czasach krew rozstrzygała o prawach i dlatego Habsburgowie szukali małżeństw w innych państwach. jak w Hiszpanii i Węgrzech. a teraz. dla wzmocnienia pretensyj. także pomiędzy Sforzami.

W r. 1498 Izabella skoligaciła się z Borgiami, z papieżem Aleksandrem VI., skoro naturalny syn jej ojca. Don Alfonso d'Aragona. książę na Bisceglie. ożenił się z córką papieża, Lukrecyą Borgią. rozwiedzioną wtedy z Janem Sforzą. panem na Pesaro. zaślubionym w r. 1494. Ślub odbył się w czerwcu (1498 r.) w Rzymie. ale książę na Bisceglie został zamordowany w dwa lata później. z namowy Cezara Borgii.

Przez jakiś czas księżna Medyolanu mieszkała w pobliżu katedry, wystawiona ciągle na tyranię uzurpatora, gdyż ten ostatni pozwolił jej widywać syna tylko raz na tydzień.

Nadchodzi wreszcie chwila, kiedy jej się zdaje. że pomszczona zostanie. Ludwik XII. przybrał tytuły nie tylko króla Neapolu. ale i księcia Medyolanu i gotuje wyprawę do Włoch w przymierzu z Wenecyą. Tego dowódzca, Trivulzio, wkracza do Piemontu z 25 tysiącami żołnierza. potem do Lombardyi 6. października 1499 r.. poczem i król sam nadciąga. Skutkiem tego Moro uciekł z synami we wrześniu do Insbruku. Wtedy to Izabella zdobywa się na krok rozpaczliwy i śmiały. Kiedy Ludwik XII. wszedł z wielką pompą do Pawii, a potem do Medyolanu. przyjęty ostentacyjnie. tak że miasto złożyło mu przysięgę wierności. ona ufając w rycerski umysł króla. wysyła naprzeciw niego synka. ośmioletniego Franciszka, hrabiego Pawii. aby powitał tego. którego uważa za swego wybawiciela Franciszek był tak ładnym chłopczyną. że poseł księcia Gonzagi z Mantui wyrażał się o nim z zachwytem. Ale i tutaj miało spotkać wdowę po Janie Geleazzu. bolesne rozczarowanie! Ludwik XII. zatrzymał chłopca i kiedy w listopadzie wracał do Francyi. zabrał go z sobą. mówiąc. iż przeznacza go dla swojej małej córeczki Klaudyi. która później. w dwa lata po śmierci Franciszka. tj. w r. 1514, poszła

za mąż za księcia Angoulême, znanego pod nazwiskiem Franciszka I.

Ludwik Moro jednak nie daje za wygranę, zaciąga Szwajcarów, aby odebrać Medyolan. A jeśli wróci na czele wojsk, zwłaszcza, że miasto zaczyna się buntować przeciw załodze francuskiej, w takim razie życie Izabelli jest niepewne... Lepiej uciekać, zanim wróg nadejdzie, więc Izabella zabiera córeczki i uchodzi do Mantui, do Izabelli d'Este — księżnej Gonzaga. Portret tej ostatniej znajduje się w cesarskiej galeryi obrazów w Wiedniu. Ztamtąd, po upływie roku — w marcu 1501 r. — uchodzi do Neapolu, aby tam pozostać. Całą może pociechą było, że wróg il Moro w kwietniu 1500 r. schwytany został przez Francuzów w bitwie pod Nowarą i uprowadzony, jako jeniec, do Francyi, gdzie w roku 1509, w zamku Laches życie zakończył, zostawiając dwu synów: Maksymiliana i Franciszka.

Księżna Izabella stała się świadkiem nowej wojny w Neapolitańskiem, między wojskami francuskiemi i hiszpańskiemi i podziału królestwa między Ferdynandem katolickim i Ludwikiem XII., co nie przeszkodziło, że wojna między nimi na nowo się wszczęła. Ostatni z neapolitańskich Aragonów, Fryderyk, wyjechał do Francyi, a Ferdynand katolicki zajął ostatecznie Neapol, gdy wojska francuskie się wycofywały.

III.

Księżna Medyolanu — dziś już tylko tytularna — otrzymała księstwo Bari i Rossano, jako odszkodowanie, i tam osiadła. Pomiędzy zamkiem w Bari a pałacem Castelcapuano w Neapolu, upływają jej następne lata wśród otoczenia więcej hiszpańskiego niż włoskiego, w nowem środowisku, gdzie pomimo towarzystwa dwu ostatnich królowych neapolitańskich i ciotki swojej, Beatryczy węgierskiej, rozwiedzionej z bratem naszego Zygmunta I., Władysławem Jagiellończykiem, musiała nieraz wzdychać za Medyolanem i utraconem stanowiskiem. Na wyspie Ischii umarła Hipolitka, syn Franciszek przebywał daleko, w niewoli u tego, który w r. 1505 otrzymał od cesarza Maksymiliana przez dyplom inwestyturę księstwa. Została się jej tylko Bona.

W r. 1513 Bona miała już rok dwudziesty i ogólne położenie nieco się zmieniło. Francesco, jedynak syn, zmarł był w niewoli przed rokiem, zabił się na polowaniu — jak mówiono wtedy — spadłszy z konia. Od roku także, tj. od 1512, Maksymilian Sforza, syn zmarłego Ludwika il Moro, odzyskał z pomocą najemnych Szwajcarów i Świętej Ligi Medyolan, a nawet cesarz, chwilowy sprzymierzeniec Ludwika XII., jemu znów powierzył lenno.

Teraz więc, kiedy kuzyn jest władcą Medyolanu, kiedy odzyskał dziedzictwo Sforzów, do niego zwracają się myśli Izabelli, jako do ewentualnego męża dla Bonity, bez względu nawet na to, że uchodzi za leniwego i nieuka. Pominąwszy trudności znalezienia odpowiedniej partyi dla córki, aspirującej do wysokiego stanowiska, uśmiecha się matce przedewszystkiem myśl powrotu do wspaniałej dzielnicy Sforzów, jakby zwycięstwo nad pamięcią Mora i nad jego intrygami. O zabiegach tych dowiadujemy się z listu księżnej Izabelli, zachowanego w Archiwum państwowem w Medyolanie, pisanego z zamku w Bari, d. 27. października 1513 r., do Andrzeja da Borgo, cesarskiego agenta w misyach dyplomatycznych i rezydenta w Medyolanie, którego też nazywa „najdroższym przyjacielem", nie żałując uprzejmości, aby tem goręcej polecić mu sprawę, zajmującą od roku jej myśli. Księżna tem więcej może zapaliła się do projektu wydania córki za Maksymiliana Sforzę, że syn Ludwika il Moro nie okazywał wielkiej ochoty do stanu małżeńskiego, a może też chciała skorzystać z chwili, kiedy w Medyolanie bawił zaufany doradca cesarza i jego kanclerz, biskup Gurku, kardynał Maciej Lang, mogący wpłynąć na doprowadzenie planu do dobrego skutku. Znać więc w liście pewną natarczywość, połączoną z niecierpliwością ujrzenia nareszcie postanowienia córki, dla której zaczynała już zbierać posag.

„Niech się Pan nie dziwi — pisze księżna do Magnifico Andrzeja da Borgo — jeśli nie przestajemy nagabywać go, gdyż mamy w was wiarę, a to pochodzi z życzenia, aby doprowadzić rzecz tę do skutku i rozpocząć nareszcie układy. Jestem jeszcze matką i pragnę, póki żyję, widzieć córkę naszą postanowioną i każda godzina wydaje się nam tysiącem lat. Prosimy Pana, aby się przyłożył do tego, tak, jak mamy w Was nadzieję i jak robiliście obecnie. I mając naszą córkę w tamtem państwie, możecie być przekonani, że będziecie mieli osobę, która zawsze dla Was będzie miała szacunek i uważać będzie za ojca i którą możecie rozporządzać jak córką i tak uczci Wasze czyny, że przekonacie

się po skutku, żeście oddali usługę osobom pełnym wdzięczności i abyśmy mogli widzieć rychło rzecz zrobioną i nie zwlekać jej dłużej, zważywszy, jak długo już się ciągnie..."

Sprawa pomimo to jakoś nie szła; w dwa lata później Izabella ogląda się za innym pretendentem i koresponduje z innemi osobami. W Rzymie mieszka wtedy nieznany nam bliżej ksiądz z Bari, którego listy pisane do księżnej Izabelli, wydane zostały z archiwum watykańskiego w r. 1890 (Don Gregorio Palmieri: Spicilegium vaticanum). Zadaniem księdza było widocznie pilnowanie interesów księżnej, na dworze Leona X., Medyceusza, jaśniejącym przepychem o charakterze nierównie więcej świeckim niż duchownym, jak u prawdziwego księcia odrodzenia. O tym księdzu i jego listach miałem już sposobność mówić poprzednio.[1]) Atoli po wydrukowaniu obszernej jego korespondencyi z matką Bony, znalazły się jeszcze listy rękopiśmienne, stanowiące dalszy ciąg, a dotąd nie ogłoszone. Podają one, jak i tamte, wiadomości z pola wojny między zjednoczonemi wojskami Hiszpanii, cesarza i papieża, przeciw wojskom Franciszka I., który podjął prawa Ludwika XII. i Wenecyanom w r. 1515 w górnych Włoszech, gdzie się rozstrzygają losy Maksymiliana Sforzy i kwestya, czy zdoła utrzymać się przy Medyolanie, w którym panuje od lat trzech.

I tutaj także wypadki poszły całkiem nie po myśli księżnej, jeśli wogóle były jakie widoki, aby kuzyn zaślubił córkę, skoro się do tego nie skłaniał. Maksymilian Sforza został pobity 15. września (1515) przez Francuzów pod Marignano, w Lombardyi, kapitulował i schwytany, poszedł za innymi Sforzami do Francyi! Zrzekł się nawet Medyolanu i uznał młodego Franciszka I., od dziewięciu miesięcy króla francuskiego, księciem.

Wobec takiej katastrofy wszystkie plany i nadzieje Izabelli rozsypały się w niwecz!

Nieznany nam księżyna z nad Tybru pisze też 27. października 1515 r. list do księżnej do Bari, jakby pocieszając ją, bo wspomina już o nowych kombinacyach: „Myśleliśmy, że kiedy Donna Bona odda się, jako żona, infantowi kastylijskiemu, który jest prawem oczkiem Hiszpanii, bratu arcyksięcia i robiąc go księciem Medyolanu, mogłoby się dalej rzecz prowadzić (odebranie Medyolanu Francuzom — przyp.), jej posagiem. Do tego cesarz jak i Hiszpania, aby go wywyższyć, bo jest wnukiem obojga,

[1]) Bona Sforza. Rzym 1904, str. 230, w drukarni Senatu.

na zasadzie praw Donny Bony, mogliby wypędzić Francuzów, tak jeden jak i drugi, aby do Wenecyi z nogami za pasem[1]) uciekali...“ [2])

Infantem kastylijskim jest młody jeszcze bardzo, piętnastoletni Karol, syn Filipa Pięknego Habsburskiego i Joanny kastylijskiej, spadkobierca tronu hiszpańskiego, a następnie cesarz Karol V. Karol w pół roku później zasiadł na tronie hiszpańskim, po śmierci Ferdynanda katolickiego. Widocznie księżna pisała przedtem, że Bona będzie miała sto tysięcy dukatów posagu, więc księżyna ma na myśli użycie tej sumy na dalsze prowadzenie wojny. Wszelako, zdaje się, o podobnej partyi choćby z powodu wieku Karola, nie mogło być inaczej mowy, jeno w pięknych zabiegach agenta w sutannie, lubiącego się czasem przychlebić, tak jak i kanonicy jednej z kapituł w księstwie Bari, przymilali się wtedy do swojej władczyni, projektem tego samego rodzaju, jakoby Bona miała wkrótce wyjść za arcyksięcia austryackiego.

Trzynastego listopada tegoż roku wracał nasz ksiądz do świeżych wspomnień, pisząc nowy list do swojej dostojnej Pani, mówiąc o klęsce, jaka spotkała Maksymiliana Sforzę:

„Ale Bóg, który wydał sąd swój nad tą psią krwią żydowską (contro quel cane de sangue ebraico), ojcem jego (tj. Morem), który zamordował bratanka, aby stać się tyranem księstwa, który wypędził jego żonę z domu, odbierając jej synka, chciał ukarać także chytrego tyrana, syna, podobnego do ojca i ja sam dziękuję Bogu za to, że małżeństwo to nie przyszło do skutku, przysięgając i zaręczając, że ta córka Donna Bona nie byłaby pożyła ani roku w jego domu, gdyż byłby ją uśmiercił, aby zabawić się potem z innemi, któreby mu były dogodniejsze...“

Skoro ten projekt poszedł w niwec, nie pozostało jak szukać kandydata na innych dworach. Dlatego jest jeszcze potem mowa o Filipie, księciu sabaudzkim, lub też o jednym z Medyceuszów z Florencyi, o Magnifico Lorenzino, bratanku papieskim, lub o Magnifico Giuliano, bracie Leona X. i dlatego zapewne ostatnie listy naszego księdza, pisane są z Florencyi, dokąd się udał w powyższej sprawie. Ale korespondencya urywa się z styczniem 1516 roku. Nie jest niemożliwem, że księdzem tym był Chryzostom Colonna, nauczyciel Bony, którego następnie uj-

---

[1]) De bone gambe.

[2]) Z listów rękopiśmiennych księdza, z Arch. watykanu.

rzymy w Polsce, kiedy układy matrymonialne toczą się z poręki cesarza.

Możemy również domyślać się, że wtedy właśnie, na początku 1516 roku, doszły księżnę Izabellę w Bari pierwsze propozycye ze strony wiedeńskiego dworu, skoro Maksymilian I. chciał wyswatać owdowiałego niedawno Zygmunta I.

Barbara Zapolya umarła była po połogu, 1. października 1515 roku, na Wawelu. Zostawiła dwie córeczki, ale następcy tronu nie było. Jest więc bardzo prawdopodobnem, że Andrzej da Borgo, poseł cesarski w Medyolanie, albo raczej kardynał biskup Gurku, Lang, przypomnieli sobie zabiegi księżnej, o jakich wyżej mówiliśmy. Dlatego ksiądz Chryzostom Colonna, o którym Zygmunt Herberstein, poseł cesarski, jadący z nim do Polski, wyraża się z wielkim szacunkiem, nazywając go „podeszłym w wieku czcigodnym księdzem“,[1]) pojedzie później, aby pokazać królowi polskiemu miniaturę Bony i wziąć udział w pertraktacyach.

Wiemy, że układy zakończyły się pomyślnie. Bona Sforza miała wyjść za Zygmunta I.

Adam Darowski.

---

[1]) Fontes rerum austriacarum. T. I.

LISTY PARYSKIE.

I.

Marius-Ary Leblond. — Początki romantyzmu francuskiego. — Emil Zola i Naturalizm. — Eugeniusz Fromentin. — Dzisiejsza literatura kobieca we Francyi.

Panowie Marius i Ary Leblond, w roku zeszłym, po powrocie z Polski, podjęli inicyatywę wystawienia pomnika Adama Mickiewicza w Paryżu. Projekt uzyskał poparcie świata literackiego francuskiego i miejmy nadzieję, w najbliższej przyszłości wprowadzony zostanie w życie. Z powodu tej wielkiej manifestacyi franko-polskiej, chwila wydaje mi się być odpowiednią dla zaznajomienia publiczności polskiej z literacką działalnością pp. Leblond, która ma już za sobą poważną przeszłość, a rokuje na przyszłość jak największe nadzieje.

A najsamprzód kilka szczegółów biograficznych. Bracia Leblond (Marius urodzony w 1887, Ary w 1880) pochodzą z wyspy de la Réunion; po odbyciu studyów w miejscowem liceum przyjechali do Francyi. Działalność swą pisarską rozpoczęli od powieści: *Les vies parallèles* (1902), *Le Zezère* (1903), *Le secret des robes* (1903), *Sarabande* (1904), *L'Oved* (1907) — oto, co w tym dziale dotychczas ogłosili. Są to wszystko powieści z życia kolonialnego francuskiego, różniące się od powieści angielskich Kipling'a, a także od utworów Loti'ego; kiedy u Loti'ego przeważa fatalizm, rezygnacya, smutek jakiś, u Leblondów przeciwnie, pa-

nuje spokój. pogoda. powiedzieć nawet można więcej, pewnego rodzaju egzaltacya. romantyzm; starają się oni uzewnętrznić przywiązanie Francyi do swych kolonij i podjęte przez nią wysiłki w celu asymilacyi pokojowej kolonistów, w celu zrobienia z tych kolonistów nie wrogów metropolii, a obywateli kochających ją, jako swą ojczyznę...

Drugą stronę działalności braci Leblondów stanowią ich podróże, a raczej sprawozdania z tych podróży: W roku 1907 wydali bardzo obszerną i źródłową monografię o Madagaskarze:[1]) jest to studyum nie tylko etnograficzne i folklorystyczne, ale uwzględniające również literaturę, sztukę, słowem wszystko, co odnosi się do życia tej kolonii; napisane barwnie, z dużym talentem literackim, ozdobione licznemi rycinami, stanowi pewnego rodzaju encyklopedyę przedmiotu. — Obecnie pracują pp. Leblond nad kwestyą polską; w tym celu odbyli w zeszłym roku podróż po całej Polsce, zbierali materyały na miejscu, starali się z bliska zapoznać z naszem życiem politycznem, społecznem i artystycznem. Zresztą sprawa polska nie była dla nich obca i przedtem i niejednokrotnie na szpaltach przeglądów i dzienników głos w niej zabierali, dowodzący zawsze zrozumienia rzeczy i oryentowania się w sytuacyi; o ile chodzi o kwestyę polską, szczegóły dość rzadkie w prasie francuskiej.

Trzecią wreszcie stroną działalności pisarskiej pp. Leblond są ich krytyki literackie i prace o charakterze filozoficznym. W roku 1907 wydali *La société française sous la troisième république*,[2]) w której, na podstawie powieści współczesnej, starali się przedstawić społeczeństwo francuskie ostatnich lat trzydziestu, te składniki, jakie społeczeństwo to tworzą; mamy więc typ dziecka, typ oficera, typ finansisty, arystokraty, anarchisty i socyalisty, typ wedle bohaterów ważniejszych powieści francuskich. Pominąwszy ciekawe i pouczające rezultaty tego rodzaju badań, oraz wskazania, jakie ztąd wyciągnąć można na przyszłość, sama metoda tej pracy jest oryginalna i bodaj na taką skalę dotychczas niestosowana.

---

[1]) Marius-Ary Leblond: La grande ile de Madagaskar, Paris Delagrave, 1907, 1 fr. 50.

[2]) Marius-Ary Leblond: La societé française sous la troisième république. Paris, Alcan, 1907, 5 fr.

Druga pracą w zakresie krytyki literackiej jest monografia o Leconte de Lisle'u.[1]) Nikt bardziej nie był powołany do napisania tej monografii, jak pp. Leblond. Leconte de Lisle, urodzony na wyspie de la Réunion, spędził na niej młode swe lata, a i w wieku późniejszym niejedną tam przeżył chwilę. Życie wyspiarskie, życie kolonistów w szczególności, otoczenie przyrody miejscowej — wszystko to niemały wpływ wywarło na twórczość Leconte de Lisle: aby twórczość tę zrozumieć, konieczną była znajomość kraju i ludzi taka, jaką mieli pp. Leblond — sami z wyspy tej pochodzący. Studyum pp. Leblond o Leconte de Lisle'u należy do najlepszych w literaturze francuskiej.

Wreszcie ostatnia praca, jaką ogłosili pp. Leblond w końcu roku zeszłego, aczkolwiek wchodząca w zakres krytyki literackiej, stawia sobie cel, że tak powiem filozoficzny, — określenie ideału XIX. wieku.[2]) Jest to na bardzo szeroką skalę zakrojona synteza dorobku umysłowego XIX. wieku, starająca się objąć i wyrazić to wszystko, ze szczególnem uwzględnieniem Francyi, co rok ubiegły przyniósł ludzkości. Rzecz oczywista, w tak obszernie pojętej pracy, w tak śmiałem przedsięwzięciu, muszą być braki i niedomówienia: trzeba jednak autorom przyznać, że zebrali materyał bardzo sumiennie, że materyał ten sądzili bezstronnie, z dobrą wiarą i z wielką tolerancyą. Panowie Leblond za ojca umysłowego wszystkich myślicieli XIX. wieku uważają Rousseau, który znowu nie był tym, za co go mają przeciwnicy, tj. nie był skrajnym indywidualistą, anarchistą, a domagał się raczej reform zgodnych z tem, co wskazuje natura, reform, do których zresztą wiek XIX., a także wiek XX. dąży. — Stają też pp. Leblond w obronie romantyzmu; romantyzm w ostatnich paru latach gorzkie przechodził chwile: oskarżono go, że był chorobą, że był elementem społecznie destrukcyjnym; opierając się na wielkich pisarzach francuskich z epoki romantycznej, wykazują pp. Leblond fałsz tego rozumowania i konkluzyj zeń wypływających.

Przyszłość widzą autorzy w świetle różowem: to co było wczoraj niemożliwem, a dzisiaj stawia się w wątpliwość, w niedalekiej przyszłości zostanie w czyn wprowadzone. Na świecie

---

[1]) Marius-Ary Leblond: Leconte de Lisle, Paris, Mercure de France, 1906, 3 fr. 50.

[2]) Marius-Ary Leblond: Du l'idéal du XIX. Siècle, Paris, Alcan, 1909, 5 fr.

zapanuje harmonia: dojdzie do niej ludzkość nie drogą radykalnych reform, ale drogą nieświadomej ewolucyi, drogą powolnego odradzania się artystycznego i intellektualnego.

Nie każdy może się zgodzić z konkluzyami pp. Leblond: w horoskopach tak dalekich i tak szerokich muszą być różnice zdań znaczne. To też, nie ze względu na te przepowiednie książka wartość posiada: ciekawe i pouczające są w niej analizy pisarzów, artystów, działaczy, analizy głoszonych przez nich idei, analizy prądów i kierunków, które pojawiały się, walczyły z sobą, rozwijały się, i albo ginęły, albo przetrwały. *L'idéal du XIX. siècle* nie określa tego ideału, ale w każdym razie do jego określenia nas zbliża.

Oto dotychczasowy dorobek braci Leblond, dorobek niespełna dziesięcioletniej pracy na polu literatury i piśmiennictwa. Już dzisiaj, mimo wiek młody, zajmują stanowisko wybitne, a w każdym razie oryginalne, w szeregach nowej, a tak licznej generacyi pisarzów francuskich.

* * *

Od kilku lat zajęto się we Francyi żywo studyami nad epoką romantyczną: Konferencye Lemaître'a o Rousseau, głośna książka Lasserre'a p. t. *Le romantisme français,* występująca przeciw romantyzmowi i jego twórcom, przynajmniej niektórym, wykazująca dzisiaj jeszcze zgubne wpływy romantyzmu, zaostrzyły tę dyskusyę.

W szeregu obrońców tradycyi romantycznej wybitne zajmuje miejsce p. Leon Séché; publikacyami swemi nie mało przyczynił się do zaznajomienia nas z rozmaitemi fazami romantyzmu francuskiego: ogłosił studya i materyały, odnoszące się do życia Alfreda de Vigny, Lamartine'a, Musset'a, Saint-Beuve'a i innych. Dzisiaj daje nam tom nowy, poświęcony „Muzie francuskiej“ [1]) z lat 1823—7, tj. wydawnictwu, około którego, w tym czasie, ruch romantyczny francuski grupował się.

---

[1]) Leon Séché: Le Cénacle de Muse française, Paris, Mescure de France, 1909, 1 fr. 50.

Pan Séché, korzystając z tego wydawnictwa, poprzedza je ogólnemi uwagami o romantyzmie i stara się zbić te zarzuty, jakie mu w ostatnich czasach zrobiono. Najsamprzód stwierdza, że romantyzm francuski przechodził dwie odrębne fazy: pierwszą od r. 1801 do 1827, od *Génie du Christianisme* do *Cromwell'a*, w której był katolickim, rojalistycznym i nacyonalistycznym, drugą, od 1830—1850 — fazę liberalizmu. Te wszystkie zarzuty, jakie zrobiono romantyzmowi, odnoszą się do drugiej jego fazy, fazy, która o wiele niżej stoi od pierwszej. W pierwszej wszystkie formy artystyczne już istniały: elegie Lamartine'a, ody i balady Victora Hugo, poematy de Vigny'ego, utwory historyczne Chateaubriand'a itd. „A skoro to wszystko istnieje, ktoż śmie, będąc o tyle o ile poinformowanym, twierdzić, że romantyzm był chorobą. Oby Bóg nie był dał innej tylko choroby Francyi. Nie byłaby z pewnością upadła, zdemoralizowała się do tego stopnia, jak to ma miejsce obecnie“. Gdzież w czasach przedromantycznych są pisarze, którzyby z większą siłą sformułowali obowiązki względem Boga i ojczyzny? „Czyż nie Chateaubriand odnowił religię naszych ojców? Czyż nie Lamartine oczyścił atmosferę miłości?“ Inna sprawa — ciągnie p. Séché — z drugą fazą romantyzmu: tam widać już wpływ Rousseau; tam są ludzie chorzy, neuropaci. Romantyzm, po rewolucyi, po wojnach za czasów cesarstwa „nie wiedział może odrazu co należy robić“, ale wkrótce stał się „ruchem umysłowym zachwycającym...“ można go jedynie porównać do epoki renesansu!

Widzimy więc w p. Séché gorącego zwolennika romantyzmu, a dodać trzeba nie tylko gorącego zwolennika, ale i pierwszorzędnego znawcę, który poprowadzi nas poprzez historyę tego ruchu literackiego początku XIX. wieku.

Muza francuska — powiada p. Séché — była manifestacyą zdrową, a jedną tylko wadę posiadała, że nie dosyć odważna, trwała zbyt krótko. Gdyby nie te okoliczności, dzięki wielkim talentom, jakie się koło niej grupowały, niezawodnie przeszkodziłaby degeneracyi romantyzmu; ale, niestety brakło Muzie francuskiej kierownika, musiała upaść...

Poświęca p. Séché oddzielne studya założycielom tego pisma (Alexandre Sounet, Alexandre Guiraud, Emile Deschamps, Victor Hugo, Alfred de Vigny, Saint-Valéry, Desjardin), oraz współpracownikom (pani Ancelot, Baour-Lormian, Belmontet, Brefant, Chauvet, Cheuedolle, Durangel, Guttinguer, Lefèvre, Pons, Resseguier), mówi dalej o salonach literackich, w których zbierali

się romantycy, w szczególności o salonie Charles Nodiera, wreszcie o początkach romantyzmu w teatrze, oraz o roli, jaką w tym względzie odegrał baron Taylor.

Poprzestanę na zaznaczeniu tych szczegółów, zatrzymam się nieco nad doktrynami, głoszonemi przez Muzę francuską. Wyrażone są one, w pierwszym rzędzie, w artykule Guiraud pt. *Nos doctrines;* rzecz szczególna, nic w nim niema o metryce, a zaledwie w kilku wierszach podane określenie sonetu. Guiraud kładzie duży nacisk na uczucia religijne w poezyi, o romantyzmie nie wspomina. Pierwszym, który nad określeniem romantyzmu dłużej się rozwiódł, był Charles Nodier (w artykule p. t. *De quelques logomachies classiques*, „La Muse Française“ z 15. IV. 1824). „Romantycy, — pisał Nodier — pragną wyrażać fabuły dawnej poezyi przy pomocy faktów malowniczych, ale naturalnych... Klasycy, jeżeli istnieją klasycy, zachowali dziwny przywilej oddawania swych myśli, posługując się fikcyami, w które sami nie wierzą i to właśnie jest różnica, która dzieli te dwie szkoły“. Artykuł Nodier'a wywołał oficyalną odpowiedź Akademii francuskiej: na jednem z posiedzeń zabrał głos akademik Auger, aby, wykazawszy całą przewrotność romantyków, ostrzedz przed nią społeczeństwo. Odezwały się głosy po za Akademią i po za romantykami: znana jest powszechnie broszura Stendhala p. t. *Racine i Shakespeare,* w której Auger'owi autor *Le rouge et le noir* dał odprawę znakomitą. Sami romantycy, z początku zacięci w walce, powoli z niej wycofują się; powodem tego są rozmaite sprawy uboczne: Jeden z założycieli *la Muse française,* Soumet, ma zamiar stawiać swoją kandydaturę na członka Akademii, nie śmie więc przeciw Akademii występować, a nie tylko sam milczy, ale nawet swych przyjaciół uprasza, aby nie mącili świętego spokoju, nawet Victor Hugo do jego życzenia się skłania. *La Muse française* wobec takiego obrotu rzeczy istnieć dłużej nie mogła, nie miała żadnej racyi bytu, gdyż chcąc istnieć dalej, musiałaby walczyć, a walczyć jej nie było wolno. Była to więc pierwsza przegrana bitwa, przegrana nie na długo, gdyż wkrótce, podjęta przez innych, inne wydała rezultaty. Ze szczegołami dalszych losów romantyzmu zaznajomi nas p. Leon Séché w następnej swej pracy p. t. *Le cénacle de Joseph Delorme* (1827—1829), która wkrótce ma się ukazać.[1])

* * *

[1]) W nakładzie księgarni Mercure de France.

Szkoła naturalistyczna jest zjawiskiem zbyt świeżem, aby dzisiaj już można było wyznaczyć jej miejsce niezmienne w historyi piśmiennictwa: materyały pierwszorzędne, które kiedyś niezawodnie będą dostępne, ukrywane są jeszcze starannie w archiwach prywatnych: z drugiej strony, naturalizm, chociaż w mniejszym, niżeli przed kilkudziesięciu laty stopniu, jest sztandarem, w imię którego się walczy, albo który się zwalcza, jest więc kwestyą dyskutowaną i podlegającą dyskusyi, a więc nie nadającą się do bezstronnej oceny. Wszak taki naturalista jak Huysmans umarł niemal wczoraj, a wpływ jego na współczesnych długo jeszcze będzie ciążył. Nie można uważać za ostatnie słowo w tej materyi, ani studyów Brunetiere'a, w znacznej części artykułów, pisanych w wirze walki, ani tej całej literatury przedmiotu bądź w książkach, bądź w broszurach, lub artykułach, wywołanej pojawieniem się nowej pracy jednego z przedstawicieli naturalizmu... To jedno tylko dzisiaj nie ulega kwestyi, że naturalizm miał swoje znaczenie dziejowe, że nie był chimerą zmyśloną dla względów oryginalności, ale, że wywołany został reakcyą przeciw zapoznaniu życia realnego w utworach wyobraźni, że był reakcyą silną, a więc skłonną do krańcowości, do przesady, nawet do absurdu.

Fakt ten, iż nie możliwa jest ocena ostateczna szkoły naturalistycznej, nie stoi bynajmniej w sprzeczności z możliwością badania poszczególnych faz naturalizmu, i z gromadzeniem materyałów do przyszłej jego oceny, przy której opinia współczesnych, tych, co udział w walce brali, jeżeli decydować nie będzie, to w każdym razie zaważy na szali niemało...

Literatura przedmiotu w ostatnich czasach wzbogacona została cenną pracą p. Edmunda Lepelletier o Emilu Zoli.[1]) Dał nam był p. Lepelletier, przed paru laty, wyczerpującą książkę o Verlaine'ie,[2]) książkę, która niejeden szczegół z działalności i z życia nieszczęśliwego poety wyjaśniła, niejedną legendę o bezładnem życiu Verlaine'a sprostowała... Pan Lepelletier pół wieku niemal w życiu literackiem francuskiem czynny udział przyjmuje: był jednym z założycieli Parnasu, był przyjacielem wielu ludzi wybitnych, jedynym bodaj prawdziwym przyjacielem Verlaine'a... Z Zolą łączyły go stosunki bliskie z początku, później, ze wzglę-

---

[1]) Edmond Lepelletier: Emile Zola, sa vie, son oeuvre, Paris, Mercure de France, 1908, 7 fr. 50.

[2]) Edmond Lepelletier: Paul Verlaine, Paris, Mercure de France, 1907, 7 fr. 50.

dów politycznych, bardziej luźne: p. Lepelletier przeszedł ewolucyę polityczną i z wielkiego socyalisty stał się radykałem, a później nacyonalistą; sprawa Dreyfusa zrobiła resztę: stanął w opozycyi względem Zoli...

Sprawa Dreyfusa, albo jak się po prostu mówi „Sprawa“, nie tylko najserdeczniejszych przyjaciół, ale nawet najbliższych krewnych poróżniła: trzeba też było bezstronności nielada, aby mimo stanowiska wręcz przeciwnego, p. E. Lepelletier mógł napisać tak pochlebną książkę o Zoli. „Między Emilem Zolą a autorem tego studyum, — pisze p. Lepelletier — bardzo długo trwały ścisłe stosunki przyjaźni. Warunki nie zrobiły z nas nieprzyjaciół, ale antagonistów. Każdy z nas walczył w przeciwnym obozie w imię tego co uznawał za słuszne. W walkach literackich nie różniliśmy się w niczem. Literatura nie stoi w zależności od polityki, a sztuka znajduje się ponad sprawami partyjnemi“. W tym duchu więc napisana jest książka o Zoli, z wielkim zachwytem „dla tego, który badał nasze obyczaje i analizował nasze namiętności i wady“.

Na razie pominę ocenę p. Lepelletier literackich zasług Zoli, a zajmę się wyłącznie faktyczną stroną jego książki. Powiem odrazu, że w tym względzie jest ona bardzo cenna: podaje szczegóły biograficzne nieznane, prostuje rozsiewane przez nieprzyjaciół Zoli fałsze i kłamstwa, między innemi odnoszące się do pochodzenia Zoli i do jego pierwszych kroków paryskich. Zola, jak wiadomo, był początkowo urzędnikiem w księgarni Hachette'a, a mając w niej styczność z literatami, sam pisarzem zostać postanowił. Pod silnym wpływem Musset'a rozpoczął od pisania poezyi, wkrótce jednak przekonał się, że w tym względzie nic zdziałać nie zdoła; zaczął pisać sztuki teatralne, artykuły dziennikarskie, mające wielkie powodzenie, wreszcie powieści.

Początkowo sentymentalny mistyk, Zola, w miarę jak życie poznawał, z mistycyzmu tego i z sentymentalizmu emancypował się, doszedł do przekonania, że „generacya jego aż do szpiku kości zdemoralizowana jest przez romantyzm“: począł kochać cnotę dla cnoty samej, sprawiedliwość dla sprawiedliwości: posiadając braki w wykształceniu, uwierzył we wszechwładzę nauki, w to, że nauka wszystko tłumaczy. To też kiedy wpadło mu do ręki dziełko dr. Lucasa: *Traité de l'hérédité naturelle* — stało się ono dla niego ewangelią i wskaźnikiem stosowania teoryj naukowych do studyów literackich. Oto, słowami p. Lepelletier, rozumowanie Zoli: „Pisać dzieła, będące wynikiem nie wyobraźni,

a kombinacyj mniej lub więcej szczęśliwych, osobistości fikcyjnych i zdarzeń wyjątkowych, ale opartych na obserwacyi życia realnego, obserwacyi ludzi i ich czynów, które się widzi, co do których posiada się dokumenty, uwzględniając jednocześnie zjawiska biologiczne, choroby nabyte i dziedziczne, skłonności, szczerze i z zimną krwią zbadane...“ A dalej: „Przedstawić społeczeństwo dzisiejsze, umieścić bohaterów w ich prawdziwem środowisku, pokazać ich czyny, ich namiętności, zbrodnie, cnoty, cierpienia i rezygnacyę tych istot, równie żywych, równie prawdziwych, równie współczesnych jak w rzeczywistości, uwzględniając ich życie organiczne, niedomogi odziedziczone po rodzicach“ — oto zadania, jakie sobie stawiał Zola. Podobne były zadania Balzaca, podobny plan, jeżeli nie bardziej obszerny, zakreślał Balzac dla swych powieści, ale Balzac rzeczywiście żył życiem realnem, tymczasem Zola z gabinetu swego wychodził wtedy tylko, kiedy „zbierał dokumenty“: znane są jego wycieczki nocne do Hal Centralnych, wycieczki do wielkich magazynów, na obiady w „świecie“ i w „pół-świecie“. Kiedy dla Balzaca życie, ze wszelkiemi jego manifestacyami, trwało ciągle, dla Zoli te tylko manifestacye życia istniały, które go na razie obchodziły, o których na razie pisał. Znalazłszy się w warunkach dla niego niezwykłych, bystrzej może niż kto inny obserwował, ale obserwował, a szczególniej wnioskował fałszywie, gdyż to co było zwykłem, jemu wydawało się nadzwyczajnem. Ztąd też i dla tych względów, w pismach Zoli razi „robiona“ sztuczność, która, jeżeli weźmiemy pod uwagę jego sposób „dokumentowania się“, była konieczna, a z jego punktu widzenia nawet szczera. Zbyt wielka rozbieżność istnieje między życiem prawdziwem, a życiem odzwierciedlonem w książkach, choćby nawet naukowych, aby studyowanie ostatnich, zastąpić mogło studyowanie życia. Zola wyszedł z fałszywego założenia i do fałszywych dojść musiał wniosków.

Te były wady naturalizmu Zoli: polegał on na obserwacyi zbyt pobieżnej, a nadewszystko zbyt powierzchownej i zewnętrznej; za mało uwzględniał „tajemnicze czynniki życia ludzkiego“, te czynniki, których obecność ukryta jest przed okiem widza najbystrzejszego: naturalizm ten, co zresztą wynikało z samego założenia, za bardzo był materyalny, brakło mu źdźbła psychologii: zapominał, że oprócz życia cielesnego, człowiek prowadzi, jeżeli nie równie ważnej jak cielesne, to jednak zasługujące na uwagę, życie duchowe. A dalej jeszcze jedno: ponieważ w założeniu na-

turalizmu było niemal ślepe kopiowanie tego, co się zaobserwowało, ponieważ był to cel wystarczający, wpłynął on w znacznym stopniu na upadek intellektualny utworów pisarskich: stały się one opisami obrazów, bez żadnej głębszej myśli, opisami obrazów powiązanymi ideami banalnemi, które zresztą schodziły na plan drugi i nie miały istotnego znaczenia. Nie należy się też dziwić, że bankructwo czystego naturalizmu nastąpiło wkrótce; spełniwszy swoje posłannictwo dziejowe, zwróciwszy uwagę na znaczenie obserwacyi w pracy pisarskiej, naturalizm umiarkowany, rozumny, wszedł jako część składowa do szkół literackich, które go zastąpiły.

Wracając do książki p. Lepelletier, przyznać jej trzeba tę zasługę, że tak samo jak zaznajamia nas z osobą Zoli, wtajemnicza nas i wprowadza w teoryę i w precedensy szkoły naturalistycznej: wskazuje nam cele, wyjaśnia metody i fazy rozwoju tej szkoły pisarskiej, której Zola, jeżeli nie był najwybitniejszym przedstawicielem, to w każdym razie był twórcą oraz rzecznikiem najbardziej typowym. Mąż wielkiej pracy, pozbawiony poczucia artystycznego, jednostronny w ocenie faktów zaobserwowanych z życia, Zola zajmuje i zajmować będzie stanowisko wybitne w historyi piśmiennictwa francuskiego; byłoby ono niezawodnie bardziej powszechnie uznane, gdyby nie moment polityczny w życiu Zoli, który do jego nazwiska dołącza i przyczepia podjęcie i rozjątrzenie sprawy, dzielącej społeczność francuską na długie bardzo lata.

* * *

Z powodu ogłoszenia korespondencyi z lat młodzieńczych Eugeniusza Fromentin[1]) (1820—1876), chciałbym na tem miejscu o tym oryginalnym i wyrastającym ze swej epoki pisarzu, słów kilka powiedzieć. Karyera jego pisarska stoi do pewnego stopnia w związku z powstaniem i rozwojem szkoły naturalistycznej. Eugeniusz Fromentin częściowo tylko należy do literatury: napisał oprócz pamiętników z podróży po Algierze (*Un été dans le Sahara*, 1857, i *Une année dans le Sahel*, 1859), powieść auto-

---

[1]) Eugène Fromentin: Lettres de jeunesse, biographie et notes par Pierre Blanchon, Paris, Plon, 1909, 3 fr. 50.

biograficzną p. t. *Dominique* (1863), oraz szereg studyów nad sztuką holenderską i belgijską, wydanych w r. 1876 p. t. *Les maîtres d'autrefois;* Fromentin był znakomitym malarzem kolorystą, bodaj jednym z pierwszych, który we Francyi dał poznać krajobraz afrykański; to zresztą o tyle nas obchodzi, o ile mogło mieć wpływ na jego działalność pisarską, a że wpływ ten miało, zobaczymy poniżej.

Powszechnie uznane jest, że Fromentin w spółczesnem mu piśmiennictwie zajmuje stanowisko odrębne: żadnych doktryn ani programów nie uznaje, a idzie wyłącznie za nakazem serca i rozumu; należy go postawić po za wszelkiemi szkołami, zresztą tym, którzy go pragną do jednej ze szkół zaliczyć, sprawia kłopot niemały.

Bardzo trafną ocenę działalności pisarskiej Fromentin'a znajduje w świeżo wydanych szkicach literackich p. Maurycego Wilmotte,[1] profesora z Leodyum. P. Wilmotte wykazuje, że Fromentin w tem co pisał, był przedewszystkiem malarzem, a następnie, że aczkolwiek miał w sobie pierwiastki romantyczne, to jednak co do sposobów pisania i co do swych koncepcyj najogólniejszych nie różnił się w niczem od realistów. Przeprowadza p. Wilmotte paralelę między opisami Goncourt'ów i Fromentin'a i wykazuje podobieństwo niejednokrotnie rażące. Ale jednocześnie stwierdza, że Fromentin był „rewanżem idealizmu w stosunku do najbardziej przesadnych wybryków realizmu“, „rodzajem odmłodzonego klasyka“, który, wziąwszy od realistów to, co mieli dobrego, nie zatracił puścizny odziedziczonej po swoich poprzednikach. Że Fromentin'owi precedensy realizmu musiały trafiać do przekonania, jest to rzeczą zrozumiałą, jeżeli uwzględnić jego działalność malarską: malował to co widział, a więc pisząc, także obserwować musiał. Że znowu obserwacya nie była wyłącznem źródłem jego pracy pisarskiej — tłumaczą nam przejścia życiowe Fromentin'a, o których informuje nas świeżo wydana korespondencya.

Fromentin wychowany na prowincyi, w samotności, w młodych bardzo latach, bo w 15-tym roku życia, zakochał się w kobiecie, która za innego wyszła za mąż. Ta miłość do tej kobiety wypełniła całą młodość Fromentin'a, zarazem dała mu materyał

[1]) Maurice Wilmotte: Etudes critiques sur les traditions littéraires en France, Paris, Champion 1909, 3 fr. 50, pp. 283—305.

do powieści, o której mówiłem wyżej; kto tak, jak Fromentin, przeżył swoją powięść, nie mógł się zadowolić obserwacyą i notowaniem „kawałków życia", a w tem co pisał, nie tylko uwzględniał spostrzeżone i zaobserwowane, ale również i odczute i przemyślane.

Korespondencya daje nam dużo nowego materyału do biografii autora Dominika, zaznajamia nas z jego działalnością poetycką (Fromentin w młodych latach dużo pisał poezyj, ale wszystko niemal niszczył) i tłumaczy, jaką ewolucyę przeszedł, zanim znalazł właściwą sobie drogę, zanim wziął za pióro: zatrzymuje się na 1848 roku. Czy kiedykolwiek p. Blanchon, wydawca korespondencyj z lat młodzieńczych, da nam jej ciąg dalszy — spodziewać się tego należy; zanim to jednak nastąpi, druga połowa życia Fromentin'a, pozostanie tajemnicą, a będzie jedynie oceniana na podstawie pism i obrazów autora.

* * *

Pan Jean de Bonnefon, jeden z bardzo znanych dzisiaj we Francyi pamflecistów, niejednokrotnie nie przebierający w środkach, aby przeciwnika swego zgnębić, ostatnią swoją broszurę, wydaną, mówiąc nawiasem, na pięknym papierze a odbitą niebieską farbą, poświęcił kobietom literatkom. Ta broszura zatytułowana: *„La Corbeille des Roses ou les Dames de Lettres"* [1]) wielkiej może wartości literackiej nie posiada, analizy działalności pisarskiej kobiet francuskich nie daje, ale, mimo to zawiera wiele ciekawych uwag, wiele bystrych spostrzeżeń, często bardzo osobistych i złośliwych, a nadewszystko stwierdza fakt, że kobiet piszących dzisiaj we Francyi jest z górą sześćset. Liczba pokaźna, która zaważyć może i musi na dorobku piśmienniczym doby obecnej. Przyjrzyjmy się jednak bliżej tej działalności kobiecej na polu literatury, biorąc za podstawę książkę p. Juliusza Bertaut p. t. *Le litterature féminine d'aujourd'hui.* [2]) Pan Bertaut nie studyuje jednostek, natomiast w szeregu rozdziałów syntetycznych analizuje następujące kwestye: stosunek literatury kobiecej do publiczności,

---

[1]) Jean de Bonnefon: La Corbeille des Roses ou les dames de Lettres, Paris, Rouville, 1909. 10 fr.

[2]) Jules Bertaut: La littérature féminine d'aujourd'hui, Paris, Librairie des annales, 1909, 3 fr. 50.

jak kobiety-pisarki pojmują kobietę i mężczyznę, jak widzą przyrodę, jak oceniają dziecko i jaką oddają mu rolę w tem co piszą, jaką jest ich wyobraźnia, wrażliwość, obserwacya, jak pojmują miłość, wreszcie jakie mają zdolności twórcze!

Cecha pierwsza, która nas uderza, przy czytaniu utworów kobiecych — powiada p. Bertaut, — utworów poetyckich czy też prozą, jest ich wzajemne podobieństwo, „są przedewszystkiem kobietami, są niemi bezwzględnie, całkowicie“. Nie potrzeba specyalnego uzdolnienia ni znawstwa, aby tę „kobiecość“ utworów kobiecych stwierdzić. Jest to oczywiście niższość, gdyż wyklucza indywidualność — cechę, która nadaje właściwą wartość pracy pisarskiej.

„Rozumowanie ograniczone jest do minimum w działalności pisarskiej kobiet. instynkt wszechmocny jest jej doradcą i kierownikiem. Trwa to od wieków, to też kobieta poddaje mu się bezwzględnie, całkowicie. Skutkiem tego usposobienia właściwego kobiecie, wszystko coby mogło walczyć z tym instynktem, obrócona jest w niwecz“. Jedno uczucie panuje w sercu, rządzi wszystkiem, stanowi pobudkę do czynu; tem uczuciem jest uczucie miłości, co w języku sztuki znaczy: „kobieta przeznaczona jest dla opiewania miłości“.

Do niedawna ta miłość wyróżniała się jeszcze tem, że była nieszczęśliwa, bolesna, ubolewająca: dopiero ostatnie zdobycze emancypacyi nadały jej charakter zwycięski: kobieta pewniejsza siebie i świadoma swej niezależności, opiewa wielkość, piękno tego uczucia, które dawniej miało dla niej coś tajemniczego i strasznego.

Obok miłości rozumieją i odczuwają kobiety najlepiej przyrodę; ale jest to nabytek względnie nowy, datujący od epoki romantycznej; przed tą epoką opisy pejzażów w utworach kobiecych niemal na palcach wyliczyć można. Wogóle kobieta zbyt lubi siebie samą, aby obserwować mogła to, co się wkoło niej dzieje: „rada myśli — powiada p. Bertaut — że istnieją dwie rzeczy na ziemi: świat i ona; a do tego dodaje po cichu, że w istocie istnieje tylko jedna: ona sama“. Tego egoizmu kobiecego nie zniwelowała jeszcze emancypacya. „Kobieta chce się pokazać nie taką, jaką jest w istocie, ale taką, jaką być pragnie: wkłada dużo kokieteryi nawet do swoich wyznań... „urządza“ swoją opowieść, ubiera ją w gałganki modne w danej chwili“.

Dochodzi p. Bertaut do wniosku, że większość literatek-kobiet, to na razie istoty zwyrodniałe, że długo jeszcze czekać

trzeba, zanim nastąpi zrównoważenie, które mogłoby konkurować z męskiem. Stwierdza jednak już dzisiaj pewien postęp zarówno pod względem różniczkowania się talentów kobiecych, a więc powolne nabywanie indywidualności pisarskiej, a także powrót do zasadniczych koncepcyj społecznych, rodziny przedewszystkiem, dotychczas albo zapoznawanych, albo wprost, jako krępujących, nieuznawanych.

Memento. Książki odebrane: Z księgarni Blond et C-ie: Déroulède: Pages françaises, 3 fr. 50; Planque: Histoire du catholicisme en Angleterre, 1 fr.; Cognets: Les idées morales de Lamartine, 0·60 fr.; Navarre: Le comité du salut public, 0·60 fr.; Nicole: Le prisme..., 0·60 fr.; F. de Lamennais: Pensées, 0·60 fr.; Fortin: Les Croisades, 0·60 fr. — Z księgarni Giard et Briere: P. Lacombe: Taine historien et sociologue, 5 fr. — Z księgarni Alcan'a: Emerson: Pages choisies, 3 fr. 50. — Z księgarni „Mercure de France": Van Bever et Léautaud: Poetes d'aujourd'hui, 2 t. 7 fr.; Wells: Douze histoires et un rêve, 3 fr. 50. — Z księgarni „Le monde Illustré": Geniaux: Les musulmanes, 3 fr. 50. — Z księgarni Plon'a: J. H. Rosny: Marthe Baraquin, 3·50 fr. — Z księgarni Stock'a: Conan Doyle: La grande ombre i Un début en médecine, 2 t. po 3·50 fr.; Wilde: Théatre t. I. 3·50 fr.; Swinburne: Chants d'avant l'aube, 3·50 fr.; Jaloux: Le reste est silence, 3·50 fr.; J. Barbey d'Aurevilly: Théatre contemporain 3 t. po 3·50; Ade Bazy: Le vent dans les arbres, 3·50 fr. — Z księgarni Hachette'a: Rousse: Lettres à un ami, 2 t. 7 fr. — Praca pp. Mariusa i Ary Leblond: L'idéal du XIX. siècle, o której mówię w Liście uzyskała 1-szą nagrodę syndykatu krytyków literackich francuskich (Association syndicale des critiques littèraires et Bibliographes).

Kazimierz Woźnicki.

Z powodu artykułu p. Karola Badeckiego o „Modlitwach ks. Izabelli Czartoryskiej“ Franciszka Dyonizego Kniaźnina, otrzymujemy od hr. Ignacego Krasickiego z Bachórca następujące pismo:

W zeszycie styczniowym „Przewodnika naukowego i literackiego“ umieścił p. Karol Badecki kilka nieznanych utworów Kniaźnina. Jeden z nich ma nadpis: Do Xięcia Adama Jerzego Czartoryskiego; p. Badecki zaopatrzył go komentarzem następującym:

„Z treści jego wnosić możemy, że odę tę napisał Kniaźnin w czasie pobytu Czartoryskich w Warszawie. kiedy to ks. generał na wieść o złośliwych i zemstliwych zamiarach Katarzyny. rozgoryczonej ostatnimi wypadkami w Polsce (Konst. 3. Maja), formował szwadron kawaleryi. by wszelkiemi siłami nie dopuścić do zupełnego upadku Ojczyzny. Powstanie ody tej odnieść nam należy na l a t a lub m i e s i ą c e po r. 1791.“

Otóż mojem zdaniem oda ta powstała w r. **1795,** gdy książę Adam Jerzy Czartoryski, syn księcia generała Z. P., udawał się na dwór Katarzyny II. do Petersburga wraz z swoim bratem Konstantym. poniekąd jako zakładnicy dla zwrotu skonfiskowanych olbrzymich dóbr księcia generała. Dwie pierwsze zwrotki wyraźnie wskazują na Petersburg i Katarzynę:

Staiesz, Adamie! gdy światu surowa
Grozi swym berłem S e m i r a m i s n o w a;
Uwagę poday w iey s t o l i c y szumie
C h y t r o ś c i, z b y t k o m i d u m i e.

Potem widzi poeta groźne potęgi przeszłości: Assyryjską nad Eufratem, egipską nad Nilem, rzymską nad Tybrem i nakoniec

(ktoby tego się był spodział)
W futra syberskie biodra swe przyodział
I ręką, płaskiey dziś niewie przyiazną
Rózgę tam podniósł żelazną.

Lecz poeta „z przeszłych pychy przyszłe widzi gruzy“, patrzy się na tę potęgę, „iak na dym, grę wiatru“ i w sercu mając

...niezatarte blizny,
Do miłey westchnie Oyczyzny.

Wiersz ten, czyli oda, jest więc i przestrogą i wiatykiem dla młodego księcia, by nie uległ pokusom tej potęgi, a zawsze pamiętał o miłej Ojczyźnie.

Całem życiem dowiódł książę Adam Jerzy Czartoryski, że został wierny uczuciom, wyrażonym w tej odzie Kniaźnina.

Ignacy Krasicki.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.